Bajka na zdrowie

„Bajka na zdrowie”

Prace nagrodzone w I edycji Ogólnopolskiego
Rodzinnego Konkursu Literackiego
na napisanie bajki terapeutycznej

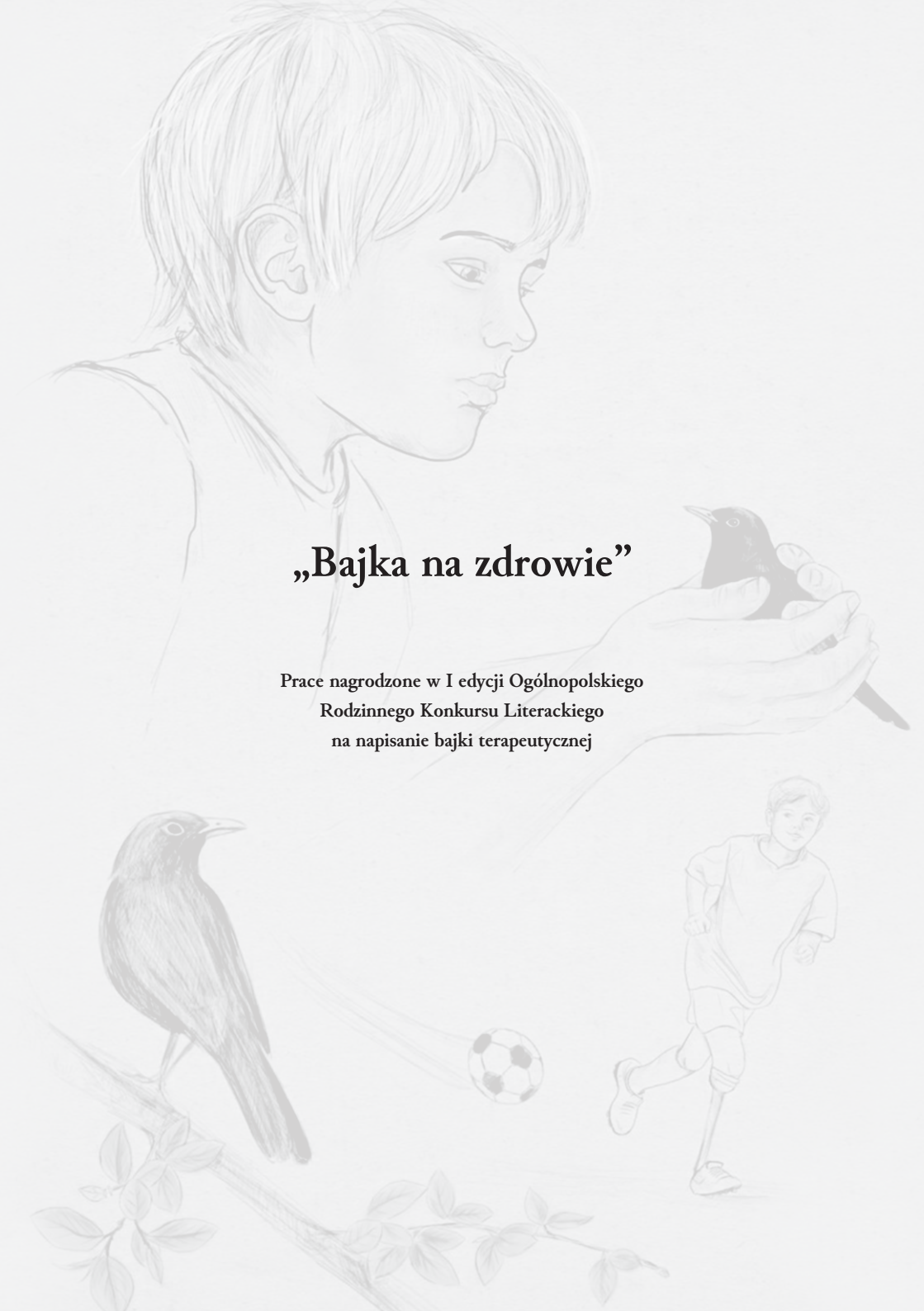

„Bajka na zdrowie”

Prace nagrodzone w I edycji Ogólnopolskiego Rodzinnego Konkursu Literackiego na napisanie bajki terapeutycznej

Redakcja:
Justyna Jurasz
przy współpracy Małgorzaty Kutkiewicz

Autorzy tekstów:
Laureaci Ogólnopolskiego Rodzinnego Konkursu Literackiego ,,Bajka na zdrowie":

Małgorzata Kutkiewicz, Grażyna Nowak-Balcer, Olga Januszewska i Bogusława Wiesner-Januszewska, Monika Saktura, Karolina Paliwoda i Kajetan Dudzisz, Jakub Waloszek i Agnieszka Waloszek, Edyta Rozenfeld, Julia Krypczyk i Monika Krypczyk, Agnieszka Klimas, Mateusz Kawka i Daniel Kawka, Jolanta Książek i Kinga Książek, Emila Chojnacka i Gabriela Chojnacka, Daria Wesołowska i Oliwer Wesołowski, Maja Listowska, Szymon Listowski i Marcin Listowski

Ilustracje:
Aleksandra Bulinska, Łukasz Hanczakowski, Małgorzata Kutkiewicz, Joanna Ogińska-Sokołowska, Bartłomiej Sita, Arnold Woliński

Ilustracja na okładce:
Joanna Ogińska-Sokołowska

ISBN 978-83-951737-6-9

Copyright © by Polskie Towarzystwo Biblioterapeutyczne, Opolskie Centrum Edukacji
Opole 2023

Spis treści

Wstęp **9**

Małgorzata Kutkiewicz
Boisko bezradności **11**

Grażyna Nowak-Balcer
Biała kartka **17**

Olga Januszewska, Bogusława Wiesner-Januszewska
Groszek Filipek i starsi koledzy **25**

Monika Saktura
Dzień w Bibliotece **30**

Karolina Paliwoda, Kajetan Dudzisz
Posklejani ludzie **39**

Edyta Rozenfeld
Kolorowy i smaczny świat Zosi **44**

Jakub Waloszek, Agnieszka Waloszek
O matko! Mam brata! **50**

Emila Chojnacka, Gabriela Chojnacka
Wicherkowe rozterki **56**

Agnieszka Klimas
Zmyślony problem Basi **66**

Mateusz Kawka, Daniel Kawka
Spostrzegawcza mysz **71**

Jolanta Książek, Kinga Książek
Mysi świat **74**

Daria Wesołowska, Oliwer Wesołowski
Kuliś **82**

Maja, Szymon, Marcin Listowscy
Klara i Kokos **87**

Julia Krypczyk, Monika Krypczyk
Niezwykła siła **91**

Każdy z nas opuszcza rodzinę jako dorosła osoba z „wyprawką" – zestawem przekonań co jest dobre, a co złe, w jaki sposób komunikować się ze światem i jak go interpretować. W uproszczeniu akceptujemy to, za co chwalili nas nasi rodzice i odrzucamy wszystko, co oni potępiali. Zostaliśmy wyposażeni w klucz do życia przez kilka zaledwie osób, często uwikłanych we własne trudności i ograniczenia.

Jest wiele sposobów i okazji, by rozszerzyć swoje umiejętności, a jednym z nich jest biblioterapia. Książki pokazują nam, jak inaczej rozmawiać, rozwiązywać konflikty, rozumieć ludzi i sytuacje i jak na nie reagować. Dzięki literaturze wiele dowiadujemy się o sobie, z kim się identyfikujemy, jakie mamy zainteresowania. Znajdujemy nowe wzorce do naśladowania. Rozwijamy to, co już w nas zasiano i/lub korygujemy błędne przekonania. Czytanie wnosi wiele korzyści do naszego życia: uspokaja, rozwija, uczy, wzbogaca słownictwo, wnosi mądrość, która daje siłę psychiczną.

Ale: trzeba bardzo dbać o to, co dziecku podsuwamy do czytania lub co inni mu proponują. Jest wiele książek, które uczą wartości niezgodnych z naszymi. Zawierają opowieści pełne przemocy, złośliwości, wredności i kształtują mody oraz postawy, które są obce naszej tradycji, kulturze i zdrowiu psychicznemu. Książki jak internet – są wspaniałym narzędziem rozwoju lub przeciwnie.

Korzystajmy z nich mądrze, bo nie znamy lepszego sposobu na: uzdrawianie emocji, nabieranie umiejętności życiowych i wiedzy, zdolności skupienia się dłuższy czas na jednym temacie, kształtowanie niezależnego myślenia i samodzielnych refleksji w wyniku dostępu do różnorodności perspektyw, rozwijanie wyobraźni, a zatem otwarcie się na twórczość prawej półkuli mózgu.

Jednym słowem czytanie akuratnie dobranej literatury przeciwdziała ograniczeniom i aberracjom systemu wychowawczego, edukacyjnego, społecznego i politycznego.

Elżbieta Zubrzycka

Wstęp

„Bajki to najbliższe dziecku utwory, w których świat realny miesza się z fantastycznym i razem tworzą zrozumiałą rzeczywistość. (...) Bajki terapeutyczne pozwalają bez lęku spojrzeć na swoje problemy i uczą, jak pomagać sobie samemu w trudnych sytuacjach. Cudowny świat bajek pozwala odmienić zdarzenia, odczarować je poprzez powiązanie przyczyn z ich skutkami, czyli objawami lękowymi. (...) Poprzez bajki dziecko uczy się pozytywnego myślenia o sytuacjach lękowych".

(Maria Molicka, „Bajki terapeutyczne")

Bajki terapeutyczne mają ogromną siłę i moc oddziaływania. Wzmacniają, umacniają budowanie silnej psychiki odbiorcy, który w bohaterze bajki odnajduje siebie i swój problem. Bajki terapeutyczne są bezpiecznym narzędziem w terapii, wychowaniu i edukacji. Jeszcze mocniejsze jest oddziaływanie bajki terapeutycznej, jeśli w procesie tworzenia utworu, autor z pomocą dorosłego dokonuje autoterapii.

Zadaniem konkursowym było napisanie bajki terapeutycznej przez dziecko i dorosłego członka rodziny ściśle według załączonego w Regulaminie schematu bajki terapeutycznej. Na konkurs zorganizowany w okresie pandemii i lockdownu wpłynęło 26 prac, z czego komisja jury w składzie: **dr Elżbieta Zubrzycka** (psycholożka, terapeutka, autorka książek dla dzieci i młodzieży, prezes GWP), **dr Agnieszka Chamera-Nowak** (dr hab. nauki o komunikacji społecznej i mediów na Uniwer-

sytecie Warszawskim, redaktor „Biblioterapeuty"), **Adrianna Jarosz** (nauczyciel polonista, poetka, prezes Związku Literatów Polskich), **Justyna Jurasz** (nauczyciel bibliotekarz, prezes Polskiego Towarzystwa Biblioterapeutycznego) wyróżniła 14 bajek. Konkurs spełniał wiele funkcji: socjologiczną (budowanie relacji, wzmacnianie więzi rodzinnych), psychologiczną (budowanie poczucia bliskości, dialogu, rozmowy), terapeutyczną (rozmowy o problemach, lękach dziecka i wspólne wraz z dorosłym szukanie najlepszych rozwiązań).

Proces tworzenia pracy konkursowej stawał się okazją do rozmowy o emocjach, lękach, problemach dziecka i spełnił ogromną rolę w procesie biblioterapeutycznym dziecka - współautora. Identyfikacja z wykreowanym bohaterem tekstu wzmacniało poczucie własnej wartości, wiarę we własne możliwości i w przezwyciężenie trudności. Zaprezentowane w niniejszym zbiorze bajki dają jasny przekaz: *Z każdego kłopotu jest wyjście. Można sobie poradzić. Dasz sobie radę. Bądź odważny, działaj!* Takiego przekazu potrzebujemy wszyscy.

Justyna Jurasz

Małgorzata Kutkiewicz

Boisko bezradności

(I miejsce)

Marcel siedział przy stole razem z babcią i dziadkiem, tęsknie spoglądając w okno. Właściwie to nie w okno, ale to co się za nim znajdowało - przepiękne boisko. Za piłką biegała gromada hałaśliwych chłopaków.

– Wnusiu może wyszedłbyś pograć z kolegami? – zapytała zmartwiona babcia.

– Nie lubię grać w piłkę. Pójdę lepiej poczytać.

Chłopiec pokuśtykał do swojego pokoju. Zamknął za sobą drzwi i rzucił się na swoje łóżko. Czuł ból i bezradność. Bolała go noga, a właściwie jej pozostałość, ale oprócz tego czuł ból w środku. *Dlaczego to wszystko właśnie mnie musi spotykać? Biedny kuternoga!* – pomyślał ze złością. Odłożył protezę i wymasował kikut. Sięgnął po książkę i próbował czytać. Niestety jego myśli wciąż wracały do grupki hałasującej za oknem. Bardzo chętnie pograłby razem z nimi. Od wypadku minął już jakiś czas i poruszanie się z protezą nie sprawiało mu już większych trudności. Pamiętał jednak początki z protezą i swój powrót do poprzedniej szkoły. Te szepty za jego plecami, uciekające spojrzenia i kilka niemiłych uwag pod jego adresem.

– Marcelku! Potrzebuję jajka do naleśników. Mógłbyś pójść do sklepu? – zawołała babcia.

Marcel założył protezę i otworzył drzwi.

– Babciu, a może wybierzemy się razem?

– Kochany, dla mnie jest trochę za gorąco. Wiesz, że przy tych upałach łapię straszną zadyszkę.

– Dobrze – westchnął.

Zabrał od babci portfel i siatkę i wyszedł z bloku. Zatrzymał się na chwilę przed boiskiem i patrzył na grających chłopców. Pogoda była wspaniała, świeciło słońce, niedaleko było słychać ptaki. Marcel zamknął na chwilę oczy i wystawił twarz ku przyjaznym promieniom. Gdy je otworzył, zauważył chłopców szepczących coś i wskazujących na niego. Serce zaczęło bić mu bardzo szybko. Poczuł, że się czerwieni i strasznie trzęsą się mu nogi i ręce. Jego oddech stał się krótki i nerwowy. Nie chciał, żeby znów się z niego śmiano. Pospiesznie odwrócił się i ruszył w stronę sklepu. Zrobił zakupy i ruszył okrężną drogą do domu. Niedaleko bloku zauważył ptaka ze złamanym skrzydłem, który nie mógł odlecieć. Siedział cichutko wystraszony i udawał, że go nie ma. Marcel przysiadł niedaleko niego na trawniku.

Chwilkę patrzyli na siebie, wzajemnie próbując się oswoić. Nagle ptak odezwał się do Marcela. – Pomożesz mi? Serce chłopca podskoczyło niemal do gardła. – Nie, to niemożliwe. Po prostu za długo siedziałem na słońcu. Chłopak uśmiechnął się i zabrał zranione zwierzę na ręce.

– Babciu, dziadku! Znalazłem kogoś kto potrzebuje pomocy!

– Matko kochana! Co się stało? – przybiegła wystraszona babcia. – Ojej, co za biedactwo. Jak to się stało?

– Sam nie wiem. Czy możemy mu jakoś pomóc?

– Pokaż, obejrzymy jego skrzydełka. – powiedział dziadek. Delikatnie zbadał skrzydła ptaka. – Na szczęście to zwichnięcie, a nie złamanie. Odpocznie trochę, usztywnimy skrzydełko i za jakiś czas wszystko powinno być dobrze. Zaopiekujesz się nim?

– Oczywiście dziadku! Tylko co mu dać do jedzenia? – zmartwił się Marcel.

– Zajrzyj do pana Stanisława spod szóstki. Hoduje gołębie, więc na pewno ma jakieś ziarno.

– Wspaniały pomysł! – Chłopak poszedł do sąsiada i otrzymał wszystko, co tylko było potrzebne.

Przez wiele dni karmił ptaka, a dokładniej kosa, co potwierdził pan Stanisław. Dbał o to, by miał wodę. Razem siadywali w oknie i patrzyli na boisko. Od momentu, gdy się poznali kos więcej się nie odezwał. Tylko patrzył spokojnymi, ciekawskim oczkami na Marcela. Chłopiec mimo wszystko miał wrażenie, że rozumieją się bez słów. Każdy dzień miał teraz swój rytm i sens. Bywały dni, że całkowicie zapominał o bólu i samotności. Pewnego dnia dziadek oświadczył, że ptak jest gotowy do ćwiczeń. – Jeżeli chcesz mu pomóc w powrocie do latania to musisz znaleźć jakąś bezpieczną przestrzeń. Chłopiec przez dwie godziny zastanawiał się, gdzie mógłby zabrać kosa. Ptak usiadł mu na ramieniu, następnie usadowił się na parapecie i zastukał dziobem w okno.

– No tak! Boisko! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? – ucieszył się chłopiec. Za chwilę jednak przypomniał sobie o meczach codziennie rozgrywających się na boisku. Znów poczuł ten wszechogarniający strach. A jeśli przyjdą i zaczną się z niego śmiać? Chłopiec usiadł zrezygnowany na łóżku.

– Dlaczego tak bardzo nie lubisz boiska? Przecież codziennie na nie patrzymy? – zapytał kos.

Marcel aż podskoczył na łóżku.

– Czyli jednak zdecydowałeś się ze mną rozmawiać? – powiedział Marcel.

Ilustracja: Joanna Ogińska-Sokołowska

– Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc i tak sobie myślę, że chyba faktycznie boisko byłoby najlepszym miejscem do ćwiczeń. Może najpierw opowiesz mi jak to się stało? Jak zwichnąłeś sobie skrzydło? – zapytał chłopak.

– Tylko się ze mnie nie śmiej. Po prostu zderzyłem się z drzewem. Zawsze byłem najgorszy w lataniu z całej rodziny, ale za to najpiękniej śpiewam. Na szczęście akceptują mnie takim jakim jestem. Boję się tylko, że teraz jest im bardzo smutno, bo nie wiedzą co się ze mną dzieje. Pomożesz mi odlecieć?

– Oczywiście, że pomogę. Musimy tylko dopasować takie godziny, gdy nie ma na boisku tych chłopaków. Mogliby nam zrobić krzywdę.

– Naprawdę? Wiesz, mieszkałem jakiś czas na drzewie obok boiska i chłopcy nigdy nie zniszczyli mojego gniazdka. Widziałem też jak raz pomogli wrócić kulejącemu kotkowi do domu, a starszej sąsiadce z sąsiedniego bloku często pomagają z zakupami.

– Nie wiem. Na mój widok zareagowali mało przyjaźnie. Wolałbym ćwiczyć z tobą latanie, gdy ich nie ma – powiedział Marcel.

– Dobrze, zróbmy tak jak wolisz.

Przez następne dni chłopak wychodził z kosem na boisko wcześnie rano, gdy młodzi piłkarze byli jeszcze w swoich domach. Były to piękne chwile. Kos mógł się unosić każdego dnia nieco wyżej i dłużej utrzymywać się w powietrzu. Marcel czasami urządzał sobie z nim wyścigi. Po dwóch tygodniach latający przyjaciel był gotowy do odlotu.

– Dziękuję ci za pomoc. W końcu zobaczę moją rodzinę. Jeżeli nie zapomnisz to załóż zimą karmnik na tym drzewie obok boiska i nasyp trochę ziarenek. Będziemy ci bardzo wdzięczni – powiedział kos.

– Nie ma sprawy! Bezpiecznego lotu! - Marcel pomachał mu ręką na pożegnanie. Patrzył długo w niebo, aż stracił ptaka z oczu.

Poczuł się nagle bardzo samotny.

– Cześć! – usłyszał nagle za plecami. Odwrócił się szybko jak oparzony i za swoimi plecami zobaczył chłopców, którzy codziennie grali na boisku w piłkę. Ogarnął go strach. Ich było tak wielu, a on sam jeden z zepsutą nogą. Zaczerwienił się, spuścił głowę i powiedział – Cześć. Nie chciałem wam przeszkadzać, już sobie stąd idę.

– No co ty! Nie przeszkadzasz! Tyle razy chcieliśmy cię zaprosić do gry, ale jesteś nieuchwytny jak cień! – powiedział wysoki chłopak trzymający piłkę.

– Jestem Marek, a ty?

– Marcel. Wiecie co, to miłe z waszej strony, ale chyba tylko popsuję wam grę. Moja noga jest zepsuta. Mam protezę – chłopiec wydusił to wszystko z siebie niemal szeptem i odwrócił się na pięcie, żeby odejść.

– Daj spokój, widzieliśmy, jak biegałeś z tym kosem. Niczego ci nie brakuje! – powiedział Marek.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał z nadzieją w głowie Marcel.

– Jasne! Możesz sobie nawet chodzić za tą piłką, jeśli chcesz. Po prostu miło by było cię w końcu poznać. Wiesz, tak naprawdę od tygodnia obserwowaliśmy z okien jak pracowałeś z tym kosem. Świetna robota! Jesteś równy gość.

– To prawda! – krzyknęła reszta drużyny.

– Może w takim razie przestańmy już gadać i zagrajmy? – powiedział Marcel. Był zaczerwieniony po same cebulki włosów. Jednocześnie zawstydzony, jeszcze trochę drżący, ale był szczęśliwy. Pierwszy raz od bardzo dawna poczuł ciepło i spokój. Chłopiec wbiegł na boisko z radością i kopnął piłkę w kierunku bramki. Nie wiedział, że na drzewie siedzi jego mały przyjaciel i serdecznie mu kibicuje.

Grażyna Nowak-Balcer

Biała kartka

(I miejsce)

– Szymek, podaj! Tutaj! – wołałem bardzo głośno. Wyobrażałem sobie, że wreszcie strzelę tego gola. Nic z tego. Zanim Szymek się zorientował, piłkę przejął Marek.

– Przepraszam! – Szymek westchnął po zakończonym meczu. – Przegraliśmy przeze mnie. Przynoszę pecha! – dodał. Nie mogłem tego słuchać.

– Dlaczego przez ciebie? W drużynie, jak w rodzinie, każdy pracuje na dobry wynik, prawda?

W szatni Szymek siedział jakiś przygnębiony. Nie przebierał się, tylko stał jak słup soli.

– Pospiesz się! – ponaglałem go. – Zaraz idziemy na dwór!

– E..! Dziś jest zbyt słonecznie! – jęknął i zaczął bardzo wolno się przebierać.

Jeszcze wtedy nie zrozumiałem o co chodzi z tym słońcem! Wyszedłem z szatni, a on został. Wyszedł po kilku minutach. Był blady. Musiałem zrobić dziwną minę, bo Szymek powiedział ostrym tonem:

– Co się tak gapisz?

– Nic podobnego! – zaprzeczyłem.

– Przecież widzę, przestań udawać! – dodał.

Wtedy podszedł do nas Marek:

– Adam, daj sobie spokój z tym albinosem[1]! – zwrócił się do mnie.

– Dlaczego? O co ci chodzi? – nic z tego nie rozumiałem.

– Tylko na niego popatrz i nie udawaj głupiego! – dodał.

Popatrzyłem na Szymka. Rzeczywiście był dziwnie blady. I te jego włosy, rzęsy, brwi i skóra – wszystko białe jak mąka. Dziwne. Znam Szymka od dawna, ale dopiero teraz to zauważyłem.

– Bo ja... – próbował wydusić coś z siebie Szymek i pobiegł do pustej jeszcze sali. Poczułem się wtedy naprawdę dziwnie. Widziałem, że coś się stało, ale nie rozumiałem co. Byłam wściekły na cały świat, ale najbardziej na Marka.

– Jaki albinos? Co on opowiada? – zastanawiałem się i ze złością powiedziałem do Marka: – A ty wyglądasz jak muchomor! Muchomor! Muchomor! – powtarzałem, jak w transie.

– Głupi jesteś, jak on! – obruszył się Marek. Po chwili zawinął się na pięcie i poszedł bawić się z dziewczynami. Marek bywa dziwny. Przezywa Szymka, a sam np. bawi się z dziewczynami. Niektórzy się z niego śmieją i nazywają go „babą". To bardzo niegrzeczne. Ja go nigdy nie przezywam. Sam często bawię się z dziewczynami. Najbardziej lubię zabawę w piaskownicy. Robię wtedy zamki obronne, mosty i tunele. Dziewczyny wolą bawić się w cukiernię. Pieką wtedy dużo różnych ciast na niby, a potem je sprzedają, też na niby. Tylko Szymek nigdy się z nami nie bawi. To przez słońce. Nie chce, by go poparzyło. Znam to uczucie. Skóra robi się czerwona i bardzo boli. Kiedyś sparzyłem się herbatą. Na palcu zrobił mi się bąbel. Bolało mnie chyba z tydzień albo dłużej.

[1] albinizm – choroba, która charakteryzuje się brakiem pigmentu w skórze, włosach i tęczówce oka. Albinosi mają bardzo jasną skórę, białe włosy, rzęsy i brwi.

Nawet nie zauważyliśmy, kiedy na korytarzu pojawiła się nasza pani wychowawczyni.

– Co, jeśli słyszała naszą sprzeczkę? – pomyślałem i bardzo źle było mi z tą myślą. Ale pani tylko patrzyła. Najpierw spojrzała na mnie, potem na Marka stojącego po drugiej stronie korytarza. Możliwe, że usłyszała słowa „albinos" i „muchomor". Może nawet chciała coś powiedzieć, ale kiedy otworzyła usta, zadzwonił dzwonek. To był znak, że długa przerwa się już skończyła i czas iść na lekcje.

– O nie! – wymknęło mi się. – Chciałem jeszcze pogadać z dziewczynami!

– Pogadacie po lekcji – dodała pani. Teraz zapraszam na zajęcia! Sala lekcyjna jest już otwarta. Wtedy Marek znów wtrącił:

– Albinos już tam jest!

Pani zrobiła dziwną minę. Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, pani powiedziała:

– Najpierw namalujemy rysunki, a potem porozmawiamy! – dodała tajemniczo.

– Hurra! – ucieszyliśmy się, bo lubiliśmy malować. Wymyśliłem, że zaraz narysuję wesołe miasteczko z balonikami i karuzelą. Oczyma wyobraźni już widziałem swój rysunek, ale wtedy pani dodała:

– Jest jedna trudność, rysunki możecie namalować tylko jednym kolorem!

– Jak to? – patrzyliśmy na siebie zdziwieni. W klasie zrobiło się gwarno. Dwoma, albo trzema kolorami, to co innego, ale jednym! – dziwiliśmy się. Ale pani nie dała się przekonać.

– Takie jest zadanie, możecie użyć tylko jednego koloru! – powtórzyła po raz kolejny i prosiła byśmy zabrali się do pracy. Po chwili zastanowienia sięgnąłem po niebieską kredkę, bo bardzo lubię ten kolor. Niebieski

jest jak niebo, jak morze, jak ocean. Długo zastanawiałem się, co namalować. Może gdybym dostał drugą farbę, chętniej zabrałbym się do pracy. Rozejrzałem się po klasie. Marek wybrał brązową kredkę, Asia zieloną, Zuzia żółtą, ktoś inny wziął czarną. Nie zauważyłem, jaki kolor wybrał Szymek, bo siedział kilka ławek dalej. Zadanie było bardzo trudne. Dziwnie malowało się świat jednym kolorem. Kiedy skończyliśmy, pani powiesiła nasze rysunki na tablicy korkowej, jeden rysunek obok drugiego. Kiedy tablica zapełniła się naszymi pracami, zapytała:

– Chcielibyśmy, by świat, jak wasze rysunki, był tylko w jednym kolorze?

– Nie! – odpowiedziałem bez namysłu.

Reszta klasy dodała zgodnym chórem:

– Nie!

Nawet Marek uważał, jak wszyscy, choć często miewał inne zdanie, czasem może na przekór nam wszystkim, całemu światu. Najwyraźniej chciał swoim zachowaniem zwrócić na siebie uwagę. Pani po chwili poprosiła Szymka by opowiedział o swoim rysunku. Zaskoczyło nas, stanął przy czystej kartce wiszącej na tablicy. Byłem przekonany, że ta czysta kartka wisi dla ozdoby. Nie przyszło mi do głowy, że to jest rysunek. Nie tylko ja byłem zdziwiony. Spojrzałem na Marka. Wydawał się być mocno zaskoczony.

– Namalowałem rysunek białą kredką – zaczął Szymek. – Tu wszystko jest białe, kwiaty, chmury a nawet słońce, dlatego myślicie, że nic nie namalowałem! – wyjaśnił.

– Aha! – mruczeliśmy znacząco. Poczuliśmy się jakoś dziwnie. Świat w jednym kolorze, nie ważne, czy w niebieskim, białym czy zielonym, wydał się nam bardzo dziwny. Nie mieściło mi się w głowie, że mógłbym żyć w świecie, w którym wszystko jest np. białe. Dosłownie wszystko.

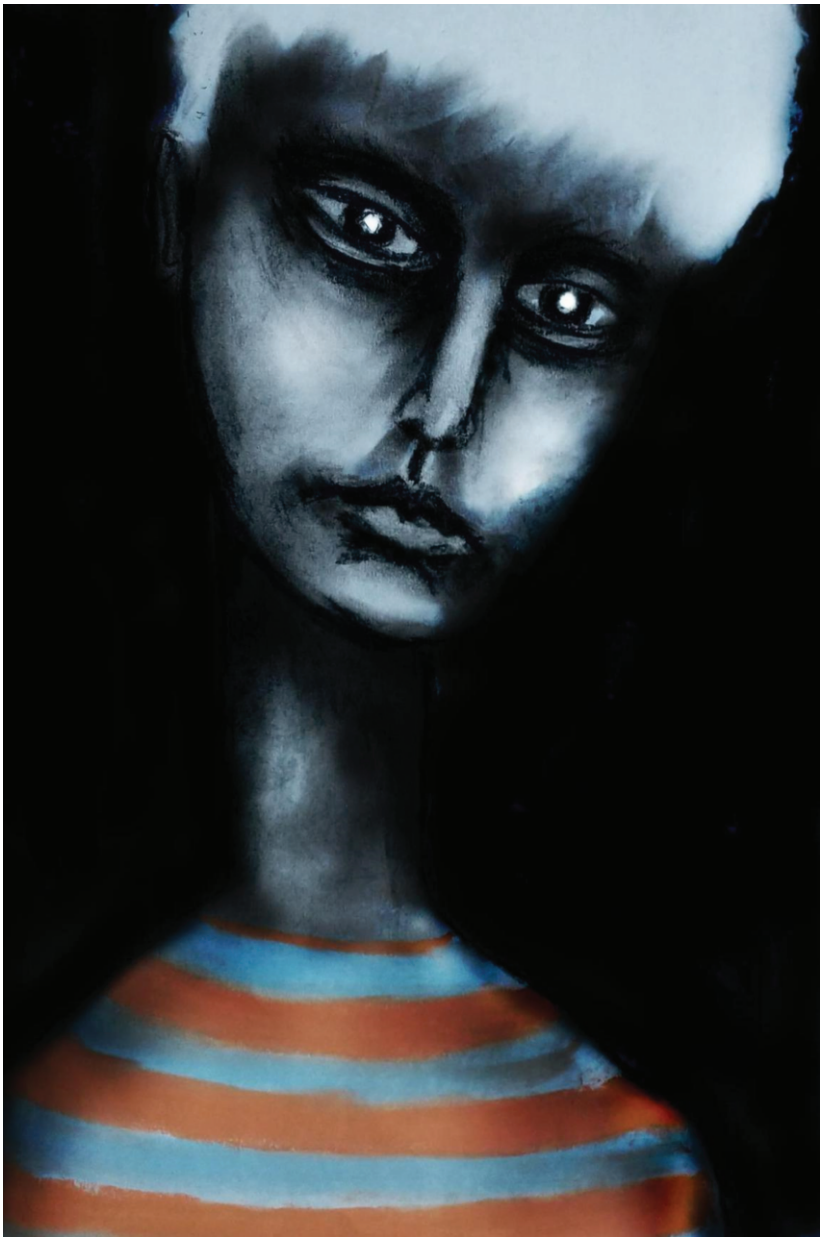

Ilustracja: Łukasz Hanczakowski

– To byłoby straszne! – pomyślałam i chyba to powiedziałem na głos, bo zauważyłem, że spojrzał na mnie Szymek. Wtedy pani poprosiła, byśmy opowiedzieli o tym, jak się różnimy.

– Mamy różne kolory oczu – wtrącił Marek.

– I różne kolory skóry! Niektórzy mają jasną jak mleko, inni ciemną jak czekolada – powiedziała Agatka. – Są też grubi, chudzi, wysocy, niscy! – wymieniała.

– A mój wujek inaczej się modli niż my! – wtrąciła Kasia.

– A u mnie w domu każdy je coś innego, bo mamy alergie na różne jedzenie – wtrącił Pawełek. – Ja lubię i mogę jeść pizzę, ale moja siostra nie może i mleka nie może pić i niczego z mąki, czekolady też nie może. A mój tata lubi kaszankę.

Dzieci zaczęły się śmiać. Pani dodała, że bardzo lubi włoską kuchnię. Potem się dowiedziałem, że pizzę i spaghetti, taki długi makaron, przywieźli do Polski właśnie Włosi.

– Co by było, gdyby Włosi nie przywieźli tej pizzy – zmartwiłem się, bo jak pani i Paweł, lubiłem pizzę. – Jak wszystko na świecie byłoby takie same, to byłoby bardzo dziwnie – pomyślałem i zrobiło mi się smutno.

Wystarczy popatrzeć na dzieciaki w naszym przedszkolu. Choć jesteśmy do siebie podobni, to jednak się różnimy wyglądem, ale też charakterem i mamy różne talenty. Ania ma rude włosy, w dodatku pięknie śpiewa, Kasia ma kręcone loki i gra na tamburynie, Piotrek pięknie maluje i choć mógłby jeść cały czas, jest bardzo chudy. Jak już wspomniałem wcześniej, Marek jest piegowaty. Powiem wam w sekrecie, że kiedyś próbowaliśmy policzyć jego piegi z jednego policzka, ale nam się nie udało. Każdemu z nas wyszedł inny wynik.

Potem pani poprosiła byśmy opowiedzieli o kimś lub o czymś dla nas wyjątkowym. Ania opowiedziała o swoim kocie.

– Jest dziwny, bo nie pije mleka – wyjaśniła. Miała rację. Nigdy wcześniej nie słyszałem o kocie, który nie pije mleka. Kasia opowiedziała o chłopcu z Tajlandii z którym czasem bawi się w piaskownicy. Opowiadała, że bardzo dużo się uśmiecha i często je pałeczkami.

– Takie jedzenie pałeczkami musi być bardzo trudne - pomyślałem. Kasia wyjaśniła, że próbowała jeść pałeczkami, ale jej się nie udało.

– Jedzenie lądowało na talerzu, a nie w buzi – żartowała.

Dodała, że chłopiec z Tajlandii nauczy ją jeść pałeczkami. Postanowiłem też spróbować coś zjeść pałeczkami. Na samą myśl o pałeczkach uśmiechnąłeś się od ucha do ucha. I wtedy pani wskazała na mnie. Milczałem, bo nie wiedziałem o kim opowiedzieć.

– Może o przyrodniej siostrze, która lubi koniki polne – zastanawiałem się. Wybór był bardzo trudny, bo każdy z moich bliskich jest inny, więc wyjątkowy. Zauważył to Marek, bo popatrzył na mnie jakoś inaczej niż zwykle. Po chwili zrobił coś, co nas wszystkich bardzo zaskoczyło. Wstał i powiedział:

– Przepraszam wszystkich. Brzydko się dziś zachowałem. Nie chciałem nikomu z was sprawić przykrości. – Potem zwrócił się do Szymka: – Ale najbardziej chciałbym przeprosić ciebie!

I w tamtej chwili stało się coś wyjątkowego. Coś, czego nie da się opisać słowami. Szymek się uśmiechnął. Oczywiście my się na niego nie gniewaliśmy. Lubiliśmy Marka. Pomyślałem, że on też jest wyjątkowy z tymi swoimi piegami. Bez nich nie byłby sobą. Też go przeprosiłem, że nazwałem go „Muchomorem". Marek tylko machnął ręką.

– To nawet ładne przezwisko – zażartował. Mimo to postanowiłem nigdy więcej go tak nie nazwać. Pani też się uśmiechnęła. Widziałem kątem oka.

– Widzę, że zrozumieliście dzisiejszą lekcję – dodała po chwili.

Od tamtej pory patrzymy na siebie jakoś inaczej. Szymek też się zmienił. Jest dużo weselszy i bardziej rozmowny. Gdy tylko jest pochmurny dzień, gra z nami w nogę na boisku. Już nie ukrywa się przed nikim i wydaje się, być szczęśliwy.

Zrozumiałem, że choć ze strachu przed odrzuceniem zamykamy się w sobie, to jednak trzeba się przełamać i spróbować uwierzyć, że każdy jest wyjątkowy, gdy tylko jest sobą. Szymek to zrobił. Udało mu się! Jesteśmy z niego bardzo dumni. Zauważyłem, że od tamtego dnia, od tamtej lekcji, patrzymy na siebie jakoś inaczej. I wiecie co? Bardzo się cieszę, że się różnimy, dzięki temu świat jest o wiele bardziej ciekawy.

Olga Januszewska, Bogusława Wiesner-Januszewska

Groszek Filipek i starsi koledzy

(II miejsce)

Groszek Filipek turlał się wesoło ze szkoły. Był piękny dzień, świeciło słońce, ptaszki śpiewały. Nastała wiosna. Filipek cieszył się, że po powrocie zje obiad z rodzicami, odrobi zadanie, a potem pójdzie grać w piłkę ze swoim przyjacielem Maciusiem.

Obaj chodzili do warzywnej szkoły. Siedzieli razem w ławce, tuż obok okna, skąd można było obserwować niebo i chmurki. Zawsze, kiedy mieli chwilkę po wykonaniu ćwiczeń zadanych przez Panią Brukselkę, spoglądali przez czyste szyby na zewnątrz. Byli pilnymi uczniami, chcieli jak najwięcej nauczyć się, by wyrosnąć na mądre jarzynki. Mama zawsze powtarzała Filipkowi, że każdy musi umieć czytać i pisać, liczyć i odróżniać chmurki deszczowe od tych na pogodę. Filipek i Maciuś słuchali uważnie Pani Brukselki na lekcjach i na spacerach, nawet na sali gimnastycznej, gdzie przychodzili kilka razy w tygodniu.

Tak, groszek Filipek lubił szkołę. Zawsze wstawał chętnie rano, ubierał buciki, zabierał plecak i pędził do niej, by tam spotkać Maciusia. Tylko... Było jedno „tylko". A właściwie to kilka... Starsi koledzy. Nie wiedzieć czemu upatrzyli sobie Filipka. Dokuczali mu, przezywali, mówili, że jest mały jak niemowlaczek. A przecież to nieprawda! Maciuś stawał w obronie przyjaciela, ale czasem zdarzało się, że Maciusia nie było w pobliżu i wtedy Filipek bardzo się bał, że starsi koledzy zrobią mu

krzywdę. Nikomu o tym nie powiedział, wstydził się. Ani Pani Brukselce, ani rodzicom, ani nawet babci. Było mu bardzo przykro. Czuł smutek, ale przede wszystkim strach, że kiedyś starsi koledzy go zbiją. Albo zrobią coś jeszcze innego. Chodzili przecież do czwartej klasy! Największy lęk Filipek czuł przed brokułem Kazikiem, był duży i taki... groźny. Wszyscy pierwszoklasiści się go bali! A z Kazikiem zawsze chodzili inni koledzy – dwaj bliźniacy-ziemniaki, Franek i Janek, burak Grześ i wysoki ogórek Czesiek.

Ale na razie groszek Filipek wracał do domu i był radosny. Zapomniał o Kaziku i jego kumplach. O przykrościach, przezywaniu, że jest mały, zielony, nieporadny, o dokuczaniu w szkolnej toalecie. O zabieraniu i chowaniu plecaczka, wyrzucaniu butów wysoko, wysoko na lampę... A nawet o umyciu buzi bardzo zimną wodą z kałuży w zeszłym tygodniu. I jeszcze o zabieraniu śniadania. I o robieniu samolotów z jego zeszytów i książek. O zamknięciu go w schowku na miotły też zapomniał. A bał się wtedy, że nikt go nie znajdzie i rodzice będą się martwić... Wtedy przyszła z pomocą Pani Cukinia, która sprząta w warzywnej szkole. Usłyszała cichutki płacz Filipka i uwolniła go.

Nagle, na dróżce, tuż przed nim pojawił się Kazik i jego towarzysze. Kazik stanął na środku, koledzy po bokach... Groszkowi Filipkowi ścierpła skóra. Poczuł się bezradny.

– Co robić? – pomyślał. – Nie mam jak przejść, nikogo tu nie ma, nawet, jeśli zawołam, to nikt nie usłyszy mojego głosu!

Filipek skulił się, chyba chciał być jeszcze mniejszy i schować się w zielonej trawie, może by go nie zobaczyli! Ale Kazik i jego banda wyraźnie przyszli tu specjalnie, wiedzieli, którędy Filipek turla się do domu. Maciuś mieszkał za rzeczką, to w inną stronę.

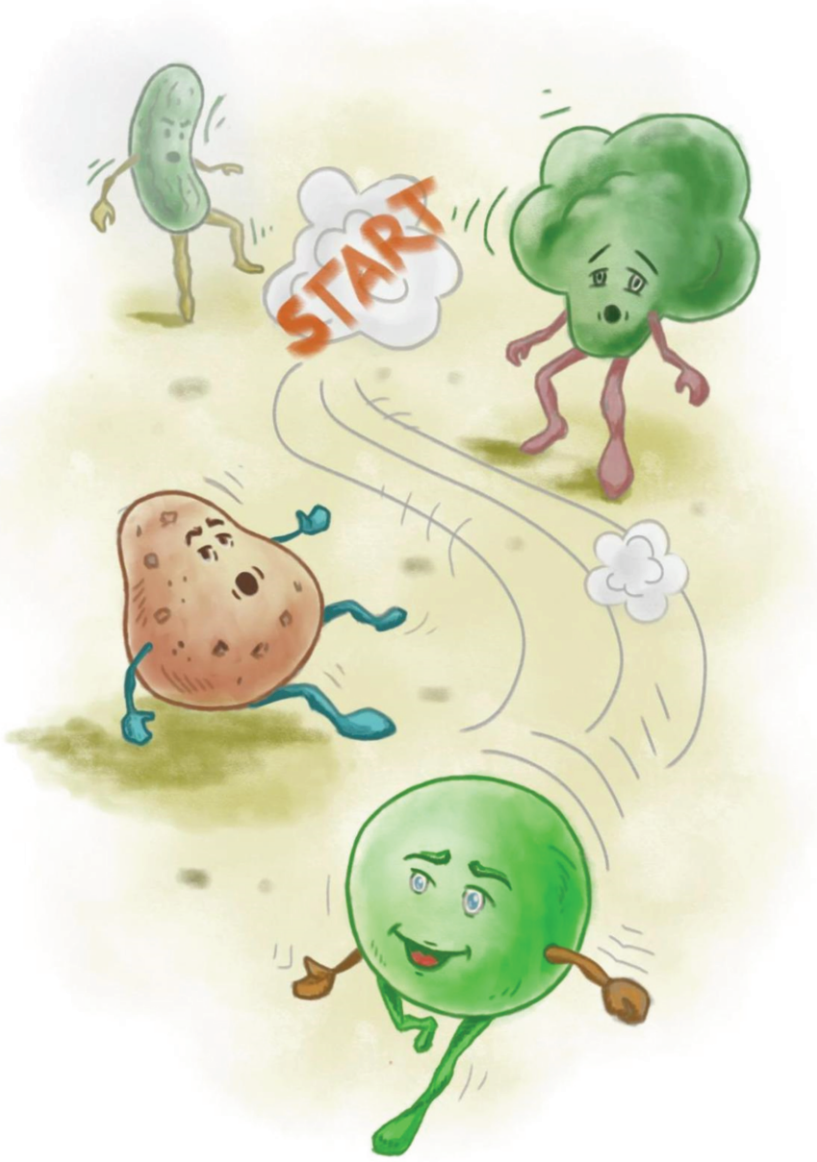

Ilustracja: Bartłomiej Sita

– Mały! Chodź no tu! – zawołał Kazik. – Ale szybko, żebym nie musiał długo czekać! Bo się zdenerwuję i będzie jeszcze gorzej!

Filipek pomyślał, że teraz spotka go coś złego. Zaczął boleć go brzuszek.

– Ej, słyszysz? Chodź tu!

Kazik był taki duży! Ogórek Czesiek śmiał się głośno, a burak Grześ już podciągał rękawy...

– Co robić? Co robić? – Filipek naprawdę zupełnie nie wiedział, a brzuszek bolał coraz bardziej.

Wtedy właśnie przypomniał sobie słowa babci. Babcia była już siwiutka, straciła dawno piękny groszkowy kolor, pomarszczona i mądra. Bo starsi są zawsze mądrzejsi niż młodsi, więcej widzieli i przeżyli, więc umieją poradzić. Babcia Matylda powtarzała Filipkowi:

– Pamiętaj, Filipku, jesteś może i malutki, mniejszy niż ziemniak, fasolka, oczywiście zupełnie mniejszy od dyni! Ale to nie znaczy, że nie potrafisz, że nie umiesz. Tylko od Ciebie zależy, czy będziesz chciał skorzystać ze swoich umiejętności i zdolności, gdy przyjdzie potrzeba.

I teraz Filipek poczuł, że przyszła potrzeba! Może był malutki, może zielony, może bolał go brzuszek ze strachu, bo każdego czasem boli brzuszek ze strachu, ale już wiedział, co zrobić! Może czasem nie umiał rozwiązać zadania z matematyki, może zrobił błąd w wyrazie „jarzyny", ale umiał szybko się turlać!

Filipek nabrał powietrza w małe, zielone płuca. Poprawił plecak. I ruszył do przodu! Turlał się tak szybko, jak tylko potrafił! Rozpędzony przeturlał się między Kazikiem, Czesiem, bliźniakami – ziemniakami Jankiem i Frankiem, choć próbowali zagrodzić mu drogę. I tyle go widzieli...

Zdyszany, ale szczęśliwy wrócił do domu. W kuchni krzątała się mama, tatuś czytał gazetę przy stole, a babcia siedziała sobie w słoneczku przy oknie.

– A co tam, wnusiu? – zapytała.

– Wiesz, babciu, jesteś bardzo mądra!

Babcia uśmiechnęła się. Chyba zgadła, że groszek Filipek, jej wnuk, miał jakąś tajemnicę, o której nie chciał mówić, ale skorzystał z jednej z jej mądrych rad.

Tak, może czasem nie umiał rozwiązać zadania z matematyki i napisać poprawnie wyrazu „jarzynki", ale szybko turlać – oj, tak, umiał z pewnością! Każdy coś umie!

Nazajutrz groszek Filipek poturlał się do szkoły jak co dzień. Był radosny. Nie bał się. Zwłaszcza że wieczorem opowiedział mamusi, tatusiowi i babci o przygodzie z Kazikiem i wszystkich przykrych chwilach w szkole. Tatuś był z niego bardzo dumny.

– Ucieczka to nie bycie tchórzem. Umiesz się turlać, a wcale nie musisz umieć się bić. Zrobiłeś to, co potrafisz wspaniale! I zobacz, poradziłeś sobie!

Mamusia tylko troszkę sobie popłakała. Ale Filipek już wiedział! Mały to nie znaczy, że nic nie umie!

W warzywnej szkole panował gwar. Jarzynki biegały, żartowały, Pani Brukselka opowiadała coś wesoło Dyrektorowi Bakłażanowi. Maciuś czekał na przyjaciela w drzwiach.

Kiedy mieli wejść do szatni, stało się coś dziwnego. Brokuł Kazik wraz z kompanami znów stanęli na drodze Filipka. Ale ich miny nie były groźne...

– Mały, cześć. Nigdy nie widziałem kogoś, kto by tak szybko biegał! Potrzebujemy kogoś takiego do drużyny. Będziesz grał z nami?

I groszek Filipek oczywiście się zgodził.

Monika Saktura

Dzień w Bibliotece

(II miejsce)

Wszystkie bajki zaczynają się od słów „dawno, dawno temu" albo „za siedmioma górami i siedmioma morzami...", a ta opowieść wydarzyła się całkiem niedawno i całkiem blisko. W miejscowości podobnej do twojej, pośród wielu różnych budynków stała stara Biblioteka. Pracowała w niej bardzo miła Pani Bibliotekarka, która uwielbiała książki i spotkania ze swoimi czytelnikami. Mieszkał w niej też rudy kot Klemens, który pilnował porządku i przeganiał z niej wszystkie myszy. Dni mijały tu naprawdę spokojnie.

Pewnego popołudnia pod Bibliotekę podjechał duży samochód, z którego wyskoczył młody chłopak wnosząc do środka duże paczki. Pani Bibliotekarka ułożyła je na biurku i powoli zaczęła rozpakowywać. Wszystkie mieszkające tu książki z zaciekawieniem wychylały się ze swoich półek, próbując zobaczyć co się w nich kryje? Również Kot Klemens nie mógł doczekać się niespodzianki. Jakież było ich olbrzymie zdziwienie, kiedy okazało się, że w środku szarych pudełek są... książki. Tak, książki! Całkiem nowe, mniejsze i większe, grubsze i chudsze... księgi, książki i książeczki. Pani Bibliotekarka z wielką starannością układała je na nowym regale, a gdy skończyła swą pracę poszła do domu nie mogąc doczekać się jutra.

Nastał wieczór i w Bibliotece zapanował przyjemny spokój. Kot Klemens bezszelestnie przechadzał się po budynku, licząc na to, że spotka na swej drodze jakąś mysz, którą będzie mógł z radością przepędzić. A tych w Bibliotece nie brakowało. Wtem z ostatniego regału dobiegł głos:

– Halo, słyszycie mnie? Jest już bezpiecznie. Możemy się spotkać.

I nagle ze wszystkich półek zaczęły zeskakiwać książki. Jedne robiły to szybciej, drugie wolniej, ale każda z nich spieszyła się, aby zająć jak najlepsze miejsce na środku pokoju. Biegły szybko w stronę ściany, gdzie stał nowy regał. Przepychały się przy tym niemiłosiernie, bo każda z nich chciała być jak najbliżej, aby móc wszystko dokładnie zobaczyć. Kiedy zajęły już swoje miejsca, przed szereg wyszła Najstarsza Książka z Biblioteki. Spojrzała przed siebie i z powagą w głosie rzekła:

– Witamy Nowe Książki. Bardzo cieszymy się, że jesteście z nami. Chcemy was poznać, w końcu będziemy mieszkać razem w jednej Bibliotece. Mamy nadzieję, że się zaprzyjaźnimy...

I wtedy z nowego regału dobiegł marudny głos:

– Ależ jestem zmęczona! Ta podróż zupełnie mnie wykończyła! W tych pudłach było tak strasznie ciemno i ciasno - odezwała się jedna z książek.

– A ja leżałam na samym dole i wszystkie mnie przygniotłyście. Zupełnie nie miałam czym oddychać. Ledwo co przeżyłam – wtrąciła druga.

– Mam zagniecione rogi i bolą mnie wszystkie kartki. Jak ja teraz pokażę się ludziom? – odpowiedziała z żalem trzecia książka.

W tym momencie wszystkie Nowe Książki zaczęły przekrzykiwać się nawzajem i strasznie narzekać na to, co im się przytrafiło. Stare Książki patrzyły z niedowierzaniem na całą sytuację. Nie tego się spodziewały. Również Kot Klemens zaprzestał swoich mysich poszukiwań i wskoczył na biurko, aby przyjrzeć się wszystkiemu z bliska.

W końcu jedna z Nowych Książek krzyknęła:

– Dosyć tych narzekań, schodzimy na dół! Musimy w końcu zobaczyć, gdzie i z kim będziemy mieszkać.

Nowe Książki z niezadowoleniem zeskakiwały z regału, a kiedy stanęły przed Starymi Książkami, zapanowała niezręczna cisza. Wszystkie zaczęły przyglądać się sobie nawzajem, cichutko szeleszcząc kartkami. Stare Książki z zazdrością patrzyły na nowe koleżanki. Nowe Książki wierciły się niecierpliwie w miejscu sprawdzając, czy nie mają jakiś zniszczeń, plam lub zarysowań.

Najstarsza Książka postanowiła jeszcze raz zabrać głos i ze spokojem przemówiła do wszystkich zgromadzonych:

– Powitajcie proszę nasze nowe koleżanki. Pewnie są strudzone podróżą i marzą o odpoczynku, więc przyjmijcie je ciepło.

Stare Książki wzniosły radosny okrzyk powitania. Nowe Książki przyglądały się im z lekkim niedowierzaniem i politowaniem. Zupełnie nie rozumiały z czego Stare Książki się tak cieszą? Przecież Nowe Książki są dla nich prawdziwym zagrożeniem. To właśnie one dostały piękny regał w najlepszym miejscu Biblioteki i to po nie będą przychodzić czytelnicy. Są przecież nowościami!

Kiedy ucichły wszystkie wiwaty, jedna z Nowych Książek odrzekła:

– Już dobrze, dobrze... dziękujemy! Teraz nasza kolej. Przedstawimy się i opowiemy o sobie, a wy wybierzcie z nas tą najpiękniejszą, która jutro zajmie najlepsze miejsce na wystawie w oknie bibliotecznym. Czyż to nie cudowny pomysł? – zachichotała z radością.

Wszystkim Nowym Książkom bardzo spodobała się ta propozycja. W końcu będzie można pokazać się innym z jak najlepszej strony i zaprezentować swoje zalety. Stare Książki nie były zachwycone tym pomysłem. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się bowiem, aby musiały między sobą

rywalizować i zachwalać swoje walory. A tym bardziej oceniać siebie nawzajem.

W Bibliotece ogłoszono więc konkurs, który miał wyłonić jedyną, wyjątkową i najpiękniejszą książkę. Kandydatki z wielką gracją przemieszczały się po dywanie i rozdawały swoje uśmiechy. Każda chciała wypaść jak najlepiej. Konkurencja była naprawdę duża i wszystkim marzyła się korona. Tylko jedna z Nowych Książek ukryła się cichutko za regałem i widać było, że nie chciała brać udziału w tej zabawie.

Najstarsza Książka patrzyła smutno przed siebie. To do niej też należał decydujący głos, komu przyznać zwycięstwo. Stare Książki miały do niej ogromne zaufanie i traktowały ją z dużym szacunkiem, ponieważ była w Bibliotece od zawsze. Przez wiele lat wędrowała po różnych domach, widząc i słysząc nie jedno. Jej kartki były stare i zniszczone, a okładka mocno przybrudzona. Pani Bibliotekarka ratowała jednak jej zniszczone wnętrze, bo wielu czytelników pytało właśnie o nią.

Na znak Najstarszej Książki rozpoczęto konkurs. Każda z kandydatek stawała pośrodku pokoju i zachwalała swoje atuty.

– Jestem najszczuplejsza ze wszystkich. Chudziutka i giętka, potrafię zmieścić się na każdej półce i w każdej szufladzie. Wszędzie się wcisnę i dopasuję. Czyta się mnie szybko i przyjemnie – zaprezentowała się Książka z numerem 1.

– Mam twardą i sztywną oprawę, pogrubione strony, ciężko mnie zniszczyć. Mogę służyć jako podpórka dla innych lub jako stolik do zabawy – opowiedziała o sobie Książka z numerem 2.

– A ja jestem małą, zgrabną książeczką, która zmieści się w każdej torebce i plecaku. Idealna w podróży. Można mną zabijać komary w namiocie lub odganiać muchy w restauracji. Na plaży można przykryć mną głowę by chronić się przed słońcem. Albo wachlować przed upałem.

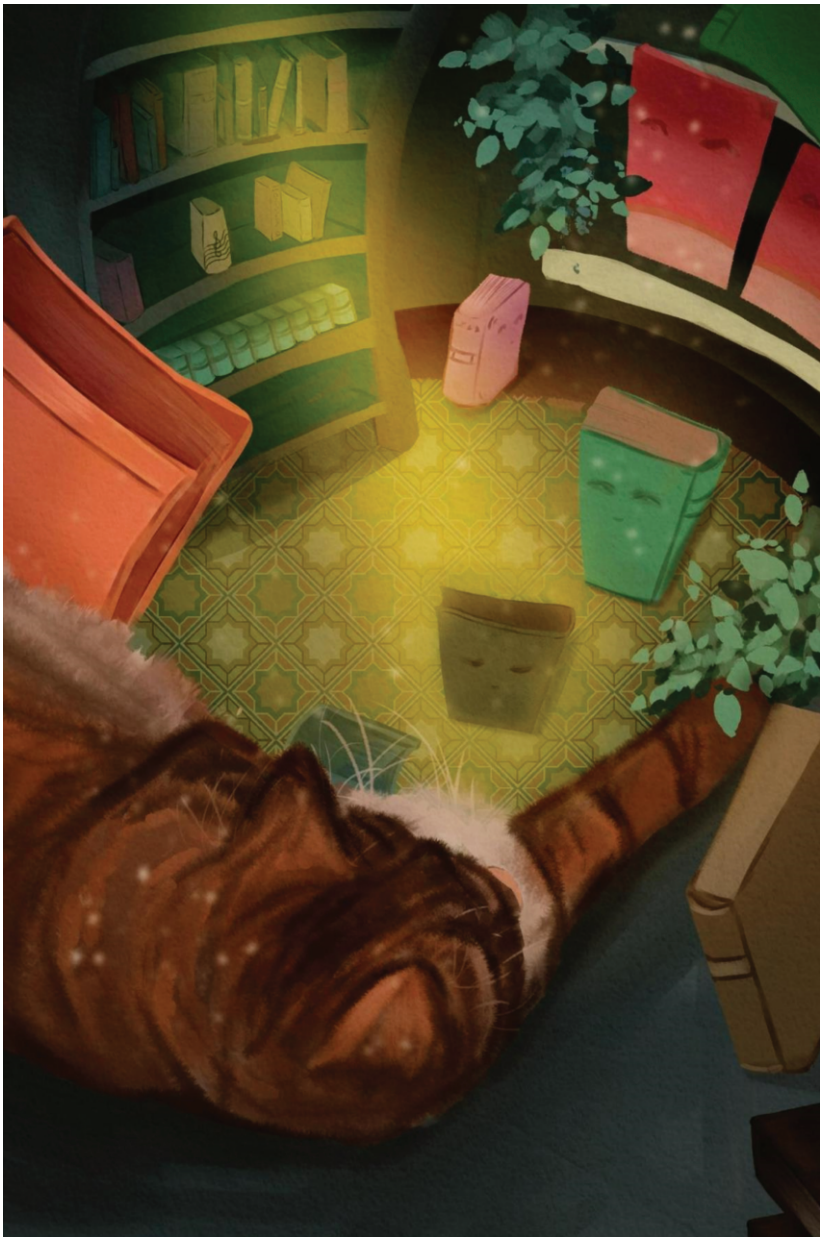

Ilustracja: Aleksandra Bulinska

Jestem wprost niezastąpiona – powiedziała z dumą Książka numer 3.

– Moje piękno jest widoczne z daleka. Cała błyszczę, mam gładkie strony, jestem taka elegancka i przyjemna w dotyku. Moje kartki są z najlepszego gatunku papieru. Aż chce się mnie czytać – przechwalała się Książka numer 4.

– Jestem piękniejsza od ciebie. Moje kartki obsypane są brokatem, cała mienię się kolorami tęczy. Wprost nie można ode mnie oderwać wzroku – odpowiedziała z przekąsem Książka numer 5.

– Co wy tam wiecie o prawdziwej urodzie. Każda z moich kartek jest zupełnie w innym kolorze. Mam w sobie tyle barw i odcieni, że nawet twoja tęcza mi zazdrości – rzekła do swojej konkurentki Książka z numerem 6.

– Kolory kolorami, ale tylko ja jedyna mam perfumowane strony. Żadna z was nie kusi czytelnika pięknym zapachem. Głosujcie na mnie! – odpowiedziała z przekonaniem Książka numer 7.

– Zapachy to jeszcze nic! Ja wydaję z siebie dźwięki i melodie. Wystarczy nacisnąć mój guziczek i można usłyszeć wesołe piosenki. A co lepiej pobudza wyobraźnię człowieka niż muzyka? Same widzicie, że jestem naprawdę wyjątkowa! – zanuciła Książka numer 8.

– Też mi coś! – zaśmiała się Książka z numerem 9. – Popatrzcie na mnie! Jestem taka tajemnicza. Mam okienka i zakładki, które kryją wiele niespodzianek. Nie od razu widać wszystkie moje zalety. Czasami trzeba dobrze poszukać, aby znaleźć to, co najlepsze. Czyż to nie jest ekscytujące? Dlatego to ja jestem wyjątkowa!

– Wielkie mi rzeczy... okienka i zakładki... – zaśmiała się Książka numer 10. – Zajrzyjcie tylko w moje wnętrze. I co w nim widzicie? Mnóstwo ruchomych elementów, które można wyjmować i przekładać w inne miejsce. Czyż to nie jest wspaniałe? Oprócz czytania zapewniam wesołą

i ciekawą zabawę. To mnie należy się wygrana!

– A w moim wnętrzu oprócz ciekawych treści są naklejki i magnesy, które za każdym razem można inaczej zestawiać. I wtedy będę zupełnie nową książką. Wystarczy być kreatywnym i mieć dobry pomysł. Która z was jest tak odważna i gotowa na zmiany? – zapytała Książka numer 11.

– Ja jestem na nie gotowa – wtrąciła Książka numer 12. – Spójrzcie tylko na mnie. Widzicie różnicę? Nie jestem z papieru, lecz cała uszyta z materiału. Gdy się zabrudzę, można mnie wyprać i nie ulegnę zniszczeniu. Świetnie sprawdzam się w roli poduszki pod głowę, gdyż jestem miękka i elastyczna. To jest dopiero coś. To mnie należy się zwycięstwo w tym konkursie.

Każda kolejna książka opowiadała o sobie tylko najlepsze rzeczy. Konkurs zamienił się w niezliczoną liczbę przechwał. Dla Kota Klemensa wszystkie Nowe Książki były piękne i cieszył się, że to nie on musi wybrać najlepszą z nich. Stare Książki oglądały konkurs z lekką nutką zazdrości, ponieważ wiedziały, że nie są tak atrakcyjne jak nowe koleżanki.

Kiedy nadszedł czas prezentacji ostatniej książki, ta wcale nie chciała wyjść i stanąć przed publicznością. Jednak koleżanki siłą wypchnęły ją zza regału. Trzęsąc się ze strachu i szeleszcząc wszystkimi kartkami w końcu powiedziała:

– Jestem tu przez przypadek i wcale nie jestem nowa. Zmieniono mi tylko okładkę. Mam pomazane i zniszczone strony. Nie mam obrazków ani naklejek. Nie jestem ani błyszcząca, ani pachnąca, a o brokacie mogę tylko pomarzyć. Jestem zwykłą, szarą i przeciętną książką po przejściach. Przez pomyłkę spakowano mnie do jednej z paczek. Przepraszam, że nie powiedziałam wam tego od razu, ale pragnęłam choć przez chwilę stać na nowym regale. Tak bardzo chciałabym, aby w końcu ktoś mnie wypożyczył. Strasznie mi wstyd z tego powodu.

Wszystkie książki zamilkły. Żal im się zrobiło ostatniej kandydatki, ale z drugiej strony zataiła prawdę i próbowała je oszukać. Czekały na to, co powie Najstarsza Książka. Po chwili usłyszały jej głos:

– Moje drogie! Trudno jest rozstrzygnąć ten konkurs i wybrać najpiękniejszą. Każda z was jest inna i posiada coś wyjątkowego, co odróżnia ją od pozostałych. Wygląd nie jest najważniejszy, choć często przykuwa uwagę. Za jakiś czas staniecie się takie jak my, a na wasze miejsce przyjdą nowe książki. Nigdy nie powinnyśmy ze sobą rywalizować. Musimy się wspierać i uzupełniać, dzięki temu damy ludziom radość, wytchnienie i wiedzę. To jest naszym głównym celem i nie możemy o tym zapominać! Stare Książki i Nowe Książki przytaknęły z uznaniem słowom wypowiedzianym przez Najstarszą Książkę. Kto jak kto, ale ona na pewno nie mogła się mylić.

– A jeżeli chodzi o nagrodę – dodała – to proponuję przyznać ją ostatniej kandydatce. Odważyła się powiedzieć prawdę o sobie. A to godne podziwu!

Wszystkie uczestniczki konkursu zgodziły się z werdyktem i podbiegły do zwyciężczyni, aby ją udekorować. Korona idealnie do niej pasowała. Ta jednak zdjęła ją z siebie i rzekła.

– Nie chcę tej korony. O wiele cenniejsza jest dla mnie wasza przyjaźń i akceptacja. Koronę oddaję w ręce Kota Klemensa, bo gdyby nie on myszy pogryzłyby wszystkie wasze karteczki. To jest prawdziwy bohater. Kot Klemens na widok korony lądującej na jego głowie zaniemówił z wrażenia. To ci dopiero niespodzianka. Naprężając swe ciało, dumnym kocim krokiem przespacerował się pomiędzy wszystkimi książkami. Był bardzo zadowolony z tego wyróżnienia!

Książki postanowiły wrócić na swoje półki. Zrobiło się już bardzo późno, a dzisiejszy wieczór dostarczył im wiele emocji. Powoli układały się do

snu, mając nadzieję, że jutro ktoś po nie przyjdzie i będą mogły choć przez chwilę zamieszkać w innym miejscu. Kot Klemens sprawdził jeszcze, czy wszystkim książkom na pewno udało się dostać na swoje miejsce i również postanowił się zdrzemnąć. Tej nocy zrobi sobie wolne i nie będzie polował.

Niech myszy sobie harcują!

Karolina Paliwoda, Kajetan Dudzisz

Posklejani ludzie

(III miejsce)

Zosia układała muszelki, przyniesione z plaży, w małe stosiki. Stosy te nie były jednak zupełnie zwyczajne, ot takie sobie przypadkowe. Każdy zbiór był dokładnie przeanalizowany i dobrany. Największy z nich tworzyły białe muszelki o płaskim kształcie, otwarte i pobrużdżone paskami. Na drugi, nieco mniejszy składały się te zawinięte w rożki, zupełnie gładkie. Trzeci zawierał najrzadsze okazy – porzucone domy morskich ślimaków i małych krabików – o wymyślnym wyglądzie. Teraz Zosia zamierzała z tych stosów zrobić mniejsze, takie które skomponuje według barwy, potem wielkości, a następnie będzie szukać kolejnych różnic tak długo aż każda muszelka wyda jej się wreszcie jedyna i niepowtarzalna. To było jedno z ulubionych zajęć Zosi, odkąd tata powiedział, że każda muszelka jest wyjątkowa i różna od innych i to zupełnie tak jak ludzie. Wtedy Zosia postanowiła sprawdzić tą teorię w praktyce. Miała ambitny plan przejrzenia dokładnie wszystkich muszelek na pobliskiej plaży. Znosiła je więc całymi wiadrami pod dom lub dokonywała oględzin nad wodą. Na plaży jednak było najtrudniej, bo morze wciąż wyrzucało nowe, ciekawe okazy. Teraz jednak Zosia poczuła, że od tego całego przeglądania i analizowania zrobiła się strasznie zmęczona i głodna.

Popędziła więc do kuchni:

– Co na obiad? – rzuciła stając nagle w progu.

– Na pierwsze danie pomidorowa – uśmiechnęła się mama, która doskonale wiedziała, że Zosia uwielbia pomidorową – już nalewam, a Ty umyj ręce.

Chwilę później dziewczynka usiadła przy stole, a mama kładąc przed nią talerz parującej i apetycznie pachnącej zupy, powiedziała:

– Wybrałam dla Ciebie cały posklejany makaron.

– Super! – odrzekła Zosia i zabrała się do przeglądania zawartości talerza. Uwielbiała wyszukiwać posklejane, niedocięte makarony. Były wyjątkowe, wszystkie inne wydawały się Zosi nudnie identyczne i takie zupełnie zwyczajne.

– O! Znalazłam samochód bez jednego koła i dinozaura, który zjada liście z drzewa i potwora wyłaniającego się z morza – mówiła z pełną buzią, w związku z czym mama niewiele z tej mowy rozumiała – a ten to już zupełnie nie wiem co to jest, ale jest najpyszniejszy.

– Zupełnie nie wiem skąd Ty czerpiesz te swoje pomysły i wymysły- westchnęła mama i uśmiechnęła się.

Zosia wzruszyła ramionami i raczyła się dalej pyszną zupą.

– Po obiedzie pojedziemy do miasteczka – zakomunikowała nagle mama – mam do odebrania przesyłkę w sklepie Pana Leopolda.

Godzinę później Zosia omiatała wzrokiem sklepowe regały, na których misternie poukładane artykuły, zacnie i z gracją prezentowały swoje etykietki. Panował tu zadziwiający porządek i ład, w którym Zosia czuła się pewnie i bezpiecznie. Dokładnie wiedziała, gdzie szukać ulubionych produktów. Każdy kto znał Pana Leopolda wiedział jak bardzo dba on o porządek i harmonię w swoim sklepie. Jak układa opakowania, pudełeczka, odwraca je właściwą stroną i segreguje według ściśle określonych zasad. Dlatego każdy kto kupował u niego w sklepie, także dbał o porządek i wszystko odkładał na miejsce. Zosia pomyślała o swoich poukła-

danych, uporządkowanych stosikach muszelek.

Tego dnia, jak zwykle wszystko w sklepie Pana Leopolda było ułożone, przewidywalne i zupełnie zwyczajne. Wszystko poza jednym wyjątkiem. Zosia zauważyła kątem oka zupełnie dziwnego człowieka, a może dwóch ludzi. Nie była do końca pewna. Potrząsnęła więc głową jakby chcąc odpędzić dziwne przywidzenie, które wcale nie było przywidzeniem.

Obok regału z płatkami śniadaniowymi stało dwóch sklejonych ze sobą ludzi. Mieli po dwie pary nóg, ale byli ze sobą zrośnięci tułowiem i przez to mieli tylko dwie ręce, a ich głowy dziwnie usytuowane tworzyły niby całość, jednocześnie będąc dwiema oddzielnymi głowami. Dziwni ludzie odwrócili się w stronę Zosi, a ona przestraszyła się i pobiegła do mamy.

– Mamo, mamo tam są jacyś dziwni ludzie.

– Dziwni ludzie? – zdziwiła się mama

– Ach, pewnie mówi o Edmundzie i Fryderyku – wtrącił pan Leopold – jak widać do tej pory ich nie poznałaś, to przemili bracia.

W tym czasie bracia podeszli nieco bliżej.

– Cześć! – przemówili równocześnie – Jestem Ed, a ja Fred.

Zosia wyjrzała nieśmiało zza maminych pleców i zaśmiała się z tej zabawnej mieszanki imion. Bracia wyciągnęli do niej rękę i rzekli:

– Przynajmniej nie musisz się z nami witać dwa razy – po czym roześmiali się serdecznie i dzięki temu wydali się już dużo mniej straszni. Zosia uścisnęła ich wspólną dłoń, uznając, że to bardzo niezwykłe, że witając się z jedną osobą jednocześnie wita dwoje ludzi.

– Jestem Zosia, a to moja mama – mama również podała rękę na powitanie i wyjaśniła córce.

– Panowie Ed i Fred są bliźniętami syjamskimi, a więc ludźmi, którzy urodzili się ze sobą połączeni różnym częściami ciała i przez to mają również wspólne niektóre organy.

Ilustracja: Aleksandra Bulinska

– Wow, to niezwykłe… a czy macie wspólne serce i czujecie to samo? A jak jeden z Was jest głodny to drugi też, a co, jeśli jeden z Was chce spać, a drugi tańczyć?

I z ust Zosi posypał się grad pytań, na które bracia postanowili odpowiedzieć przy filiżance gorącej czekolady, na którą, rzecz jasna, zaprosili dziewczynkę i jej mamę.

– Wiesz mamo… – powiedziała dziewczynka, kiedy wracały już do domu – świetnie się dziś bawiłam, a czekolada smakowała wyjątkowo pysznie – a po chwili dodała – życie byłoby strasznie nudne bez posklejanego makaronu i posklejanych ludzi, którzy są jak najrzadsze okazy moich muszelek.

Edyta Rozenfeld

Kolorowy i smaczny świat Zosi

(III miejsce)

Zosia nie lubiła jeść warzyw i owoców. Tupała małą nóżką, ilekroć na stole pojawiały się kulinarne pomysły mamy. Zupa z pływającym porem przypominała Zosi zieloną żmiję, która zatopiła się w talerzu, koperek na ziemniakach za bardzo łaskotał jej podniebienie, a natka pietruszki w rosole kojarzyła jej się z wodorostami nad morzem – fuj! Zatykała buzię i nie pozwalała, aby słupki pomarańczowej marchewki pojawiały się w jej buzi.

– To może kawałek jabłuszka? – proponowała zrezygnowana mama.

– Nie, nie, nie! – krzyczała Zosia i zamykała się w swoim pokoju.

Całej sytuacji przyglądał się miś Felicjan, z którym Zosia nigdy się nie rozstawała. Przytulała go mocno do siebie i szybko zapominała o kulinarnym koszmarze. Nie będę jadła tej zieleniny! I koniec, i kropka! Pomyślała i zajęła się układaniem klocków. Cierpliwy miś Felicjan ciekawy był, dlaczego Zosia tak się buntuje i nie chce jeść warzyw i owoców? Przecież warzywa i owoce mają mnóstwo witamin, są kolorowe i smaczne! Musi być przecież jakiś sposób, aby zachęcić Zosię do jedzenia takich pyszności.

Kiedy Zosia jeszcze smacznie spała, mama i tata coś szeptali do siebie w kuchni. Zapisywali, kreślili, planowali, rysowali. Nagle, w drzwiach kuchni pojawiła się zaspana i ciekawa Zosia.

– Zosiu, mamy dla Ciebie niespodziankę! Zaraz po śniadaniu zabieramy Cię z mamą na wycieczkę – wesoło powiedział tata Zosi.

Zosia aż podskoczyła z radości! Lubiła wycieczki i specjalne zadania. Była bardzo ciekawa, co tym razem wymyślił dla niej tata? Oczywiście w wycieczce towarzyszył Zosi jej ulubiony miś – Felicjan! Kiedy pojawili się na działce, dziewczynka nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Odkąd pamięta, rodzice bardzo często zabierali ją w to miejsce, pokazując grządki warzyw, drzewka i krzewy. Nagle tata Zosi wyjął z kieszeni kilka opakowań małych nasionek. Pokazał jej, jak siać i sadzić warzywa i owoce. Skąd się biorą i czego potrzebują, aby urosnąć. Woda, ziemia, słońce? Tylko tyle? Zdziwiona Zosia jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić.

– No i jeszcze do tego trochę cierpliwości i dużo miłości – dodał tata.

– Bo bez tego nawet roślinki nie przetrwają – uśmiechnął się do swojej córeczki.

Mama natomiast pokazywała Zosi jakie warzywa wykorzystuje do robienia zup i wszystkich obiadów. Zosia uważnie przyglądała się kolorowym i fikuśnym buraczkom, ziemniakom, rozłożystej kapuście.

– To włoszczyzna – nagle powiedziała mama.

– Wło? Co? – zapytała Zosia.

– Dla mojej małej czterolatki to jeszcze trudne słowo, aby je wypowiedzieć szybko i poprawnie. Włosz-czy-zna – pocieszyła ją mama, głośno i wyraźnie powtarzając trudne słowo. – Włoszczyzna zawiera to wszystko, co sprawia, że moje zupy tak Ci smakują. Jest w niej marchewka, pietruszka, por, seler – wymieniała mama, a tymczasem Zosia brała każde warzywo do rąk i bawiła się nimi.

Mama dołączyła do zabawy i pokazywała Zosi jak pięknie wyglądają warzywa, jaką mają skórkę, zgadywały razem kolory i wspólnie wymyślały z nich potrawy. Pokazywała natkę pietruszki, zielony koperek, chrupiącą

sałatę i marchewkę.

– A co można zrobić z marchewki? – zapytała mama.

– Marchewkowe ciasto! – krzyknął z oddali tata.

– Marchewkowe placuszki – dodała Zosia.

– Brawo! – pochwaliła ich mama.

– A teraz pora na pora! – powiedział tata i pokazując Zosi piękny, długi por.

– Por? – Zosia niepewnie wzięła do rąk długie warzywo, które kojarzyło jej się z zieloną żmiją. – Hmm, wygląda jakoś inaczej niż w zupie. – Zosia przyglądała się i nie dowierzała, że to ten sam por, który ląduje w jej talerzu: długi, miękki i bladozielony.

Mama wytłumaczyła Zosi, że surowe warzywa wyglądają trochę inaczej niż w zupie lub kiedy je zmiksujemy. Powiedziała też, że należy je jeść w każdej postaci, bo mają mnóstwo witamin i jedząc je nabywamy odporności, nasza skóra jest zdrowa, a my mamy więcej siły i energii do zabawy. Zosia słuchała jak zaczarowana. Wiedziała, że mama mówi prawdę, ale nie wiedziała, jak zareaguje przy kolejnym posiłku.

Kiedy wróciła z rodzicami do domu, mama zaprosiła Zosię do kuchni, aby razem przygotowały posiłek. Na stole pojawiły się kolorowe warzywa i owoce. Czerwone jabłka, żółta kukurydza, zielony ogórek. Na samym środku stołu Zosia posadziła misia Felicjana, który przyglądał się całemu wydarzeniu.

– Ale kolorowo! – powiedziała Zosia.

– To będzie smaczna uczta – powiedziała mama i wyjęła warzywa, których Zosia nie chciała jeść.

– O marchewka! – powiedziała Zosia zaciskając usta.

– Będziemy ją najpierw tarkować. Zaczniemy od mniejszych kawałków, aby zachęcić Cię do próbowania i chrupania.

Ilustracja: Arnold Woliński

Zosia pokiwała niepewnie głową i pomagała mamie przy tarkowaniu marchewki. Fakt, kawałki były mniejsze i bardziej zachęcające, ale jakoś jeszcze nie przekonywały Zosi do ich zjedzenia. Mama zauważyła, że wzrok Zosi przykuły małe, żółte kukurydziane kuleczki. Najpierw mama wzięła je na rękę i powąchała, potem ułożyła z nich słońce.

– Jakie żółte! – radośnie oświadczyła Zosia, po czym zapomniała się i włożyła kuleczki do buzi. – Słodkie! Pyszne!

Na twarzy mamy pojawił się uśmiech. Już dawno nie była taka dumna z Zosi. Ciężka i cierpliwa praca się opłacała, nawet jeśli to miało być małe ziarenko kukurydzy, które spróbowała Zosia. Plan mamy i taty pomału przynosił efekty. Zabawa, oswajanie, pokazywanie i próbowanie – to wszystko nie tylko zaciekawiało Zosię, ale sprawiło, że dziewczynka uczestniczyła w procesie SMAKOWANIA i ODKRYWANIA.

Na kanapkach Zosi coraz częściej gościł szczypiorek i posiekany koperek. Już nie łaskotał podniebienia Zosi. Rodzice starali się, aby każdego dnia dziewczynka próbowała czegoś nowego. Zosia najpierw dotkała dany owoc czy warzywo, potem wąchała, czasem odkładała na potem. Rodzice do niczego jej nie zmuszali. Aż pewnego dnia, mama zauważyła, że ze stołu zniknęła pokrojona marchewka.

– Hmm? Gdzie jest moja marchewka? – zapytała mama

– W buzi małego królika! – krzyknęła Zosia, która tak głośno chrupała, że aż tata z drugiego pokoju usłyszał.

– Czy mogę się dołączyć do króliczej, chrupiącej rodzinki? – zapytał.

– Oczywiście! – odparła mama. I całą rodziną głośno chrupali marchewkę. Zosia poczuła, że w chrupaniu nie jest już sama.

Na kolację tata zaserwował warzywną pizzę! Zosia uwielbiała ją, a tata postanowił dodać kilka specjalnych składników. Oczywiście, w przygotowaniu pomagała mu Zosia i miś Felicjan. Zosia z niezwykłą starannością

układała na pizzy kukurydzę, która od czasu do czasu trafiała do jej buzi. Oprócz szynki i sera, tata dodał także cukinię i kawałki pieczonego buraczka.

– Będzie pyszna! Już to wiem! – powiedział Zosia i już nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła zjeść swój kawałek.

Świat małej Zosi robił się coraz bardziej smaczny i kolorowy. Wspólne posiłki i ich przygotowanie pomogły Zosi przekonać się, że próbowanie i smakowanie to nic strasznego. Dziewczynka coraz chętniej chrupała, żuła i smakowała coraz to nowsze smaki. A zielenina w zupie? Już nie przerażała Zosi. Pomysłowa mama miała na nią swoje sposoby: czasem zielony por był przez mamę zmiksowany, czasem bardzo drobno pokrojony.

Jakub Waloszek, Agnieszka Waloszek

O matko! Mam brata!

(III miejsce)

I stało się! Będę miał brata. Właśnie rodzice podzielili się tą nowiną ze mną, że za kilka tygodni w mojej norce zamieszka „ktoś jeszcze"...

– Co? - zapytałem. – Jak to się stało?! Dlaczego mi to zrobiliście?! Wiecie, że sam chcę mieszkać w swojej norce?! Przecież „ten ktoś" będzie mi ciągle przeszkadzał, jak będę zajęty swoimi sprawami?! Czy ja nie jestem dla Was wystarczający?! Po co ktoś jeszcze?! – zadawałem w kółko pytania rodzicom.

A oni... patrzyli na mnie z wielkim zdziwieniem i zaskoczeniem. Chyba spodziewali się innej reakcji... No cóż... A ja jestem po prostu zaskoczony i przerażony. Ja, czyli krecik Marek.

Razem z rodzicami mieszkam w całkiem fajnej norce przy parku Yellowstone. Nasza norka to taki jakby domek pod ziemią na przedmieściach. Jestem młodym krecikiem, który dopiero co zaczął szkołę podstawową dla zdolnych kretów. Mam ciemne futerko, z jedną białą plamką na ryjku i spore problemy ze wzrokiem, ale całkiem fajny ze mnie ryjówkokształtny zwierz. Bardzo lubię kopać podziemne tunele i tworzyć niesamowite kopce z ziemi - to moje hobby. W wolnym czasie staram się zaistnieć w sieci i nagrywam filmiki z moich zmagań kopania nowoczesnych korytarzy i tuneli. Już dziś obserwuję duże zainteresowanie moją krecią twórczością. Może kiedyś zostanę znanym youtuberem albo jakimś

celebrytą? Kto wie... Mój tata jest najlepszym krecim detektywem w okolicy, a mama robi najpyszniejsze ciasto, o nazwie „kopiec kreta", jakie kiedykolwiek jadłem. No pycha, mniam, mniam... Jak sobie pomyślę, to już mi ślinka leci.

Ale dość o mnie! Wróćmy do mojej rzeczywistości, która właśnie zmieniła się w piekło. Już tylko kilka marnych tygodni jak z jedynaka zostanę starszym bratem! To nie wygląda za dobrze. Mój świat jedynaka, którego rodzice kochali najbardziej na świecie legnie w gruzach.

Bedę musiał się wszystkim dzielić: norką, sprzętem budowlanym, a przede wszystkim rodzicami. Nawet nie mogę sobie tego wyobrazić. A co to będzie, jak mój młodszy brat zacznie uciekać wyrytymi przeze mnie podziemnymi korytarzami i się zgubi?

O nie! To koszmar! Przynajmniej tak sobie to wyobrażam.

Wybiła godzina 0! - czyli nowy kret w kretowisku! To mój brat Rafał, ale nazywam go „Bambaryłą Smrodzisławem", bo puszcza mega krecie bączki, nie mówiąc już o tym, jaki zapach unosi się z jego pieluch. Nadmienię, iż nasza norka, jak na krecią norkę przystało, nie ma żadnego, nawet najmniejszego okienka. Możecie sobie chyba to wyobrazić. Mój ryjek przeżywa katusze! Rodzice cały dzień nic innego nie robią tylko się nim zajmują. A ja? Kto myśli o mnie? Już się o mnie tak nie troszczą jak kiedyś. Tak przynajmniej ja to widzę!

Mówią – jesteś już dużym krecikiem, odpowiedzialnym i samodzielnym. Ale jakoś mi to nie pasuje. I jeszcze sobie wymyślili, że pojedziemy wszyscy razem (rozumiecie słowo „razem" – „razem"', czyli we czwórkę) na wakacje.

– Co? Razem na wakacje? Ale jak? Zawsze jeździliśmy w trójkę, a teraz mamy jechać we czwórkę? Nie mogą Bambaryły podrzucić babci Krysi, żebyśmy mogli jechać sami jak kiedyś?

Prosiłem ich, błagałem... ale niestety, mój pomysł z babcią Krysią nie przeszedł. No i pojechaliśmy we czwórkę krecikowozem. Nasz cel to Gejzerowisko i mega Wulkan Błotny na północy Parku Yellowstone.

Po całym dniu podróży w końcu dotarliśmy na miejsce. O dziwo Smrodzisław całą drogę był grzeczny i spał. Zaparkowaliśmy u stóp wielkiego wulkanu. Mieliśmy super widok, pogoda nam sprzyjała, a to wróżyło udany wypoczynek. Gdyby tylko ten nasz nowy członek rodziny został w domu, byłyby to najlepsze wakacje w moim życiu. Niestety, był z nami. Jakoś musiałem to przetrwać... Eh...

Rodzice zaplanowali wycieczkę na Gejzerowisko. Gdy tylko zjedliśmy śniadanie, ubraliśmy stroje sportowe, wzięliśmy zapas jedzenia i wybraliśmy się w długą drogę zobaczyć gejzery. Po kilku godzinach doszliśmy i przed nami ukazały się super tryskające wodą dziury w ziemi. Było dosyć ciepło i rozbiliśmy obozowisko koło jednego z największych gejzerów.

Nastał wieczór i rozpaliliśmy ognisko. Tata ugotował nam wielki gar jedzenia, tak zwane „duszonki". Uwielbiam je jeść. Aha, zapomniałem wspomnieć, iż tata oprócz bycia najlepszym detektywem, jest super kucharzem. Bambaryła też z nami siedział przy ognisku, ale starałem się go unikać. Na razie jakoś nie przepadam za nim i nie wiem, czy kiedyś się to zmieni...

Cały wieczór śpiewaliśmy razem piosenki i oglądaliśmy gwiazdy. Wydawało mi się nawet, że widziałem kilka „spadających gwiazd". Pomyślałem wtedy życzenie, że chciałbym przeżyć jakąś prawdziwą przygodę. Może kiedyś spełni się to moje życzenie...

Po długim wieczorze, następnego dnia wstałem dość późno. Ale jeszcze spałbym, gdyby nie fakt, iż obudził mnie krzyk Bambaryły.

– O co chodzi, co on tak się drze? – zawołałem do mamy, aby go wzięła i uspokoiła, ale Bambaryła krzyczał dalej.

Ilustracja: Małgorzata Kutkiewicz

Zwlokłem się w końcu z legowiska i zobaczyłem, że rodziców nigdzie nie ma, a ja zostałem sam z młodszym bratem.

– Spokojnie – pomyślałem. – Przecież zaraz wrócą, przecież nie mogli nas tak zostawić. Próbowałem uspokoić brata i o dziwo mi się to udało. Byłem z siebie dumny! Zrobiłem nam nawet śniadanie, bo rodzice nie wracali przez dłuższą chwilę. Zacząłem się martwić, jak nie było ich kilka godzin.

– Może coś im się stało? Ale co? Może się zgubili? Przecież by tak nas tutaj nie zostawili?

Po kolejnych kilku godzinach zacząłem się już serio bać. Serio, serio... Bambaryła patrzył na mnie tymi swoimi małymi ślepkami. Zobaczyłem w nich ogromne do mnie zaufanie. Nie zauważyłem tego nigdy wcześniej. Wiedział przecież, że jestem jego starszym bratem, i że na pewno może na mnie liczyć. Bałem się bardzo. Starałem, się jednak tak zachowywać, żeby on jak najmniej się bał. Wiedziałem, że jeśli rodzice zaraz nie wrócą, to będziemy musieli ich zacząć szukać.

Zaczęło się ściemniać, a oni nie wrócili. Zdecydowałem, iż wezmę brata na ręce i ruszymy w drogę powrotną. Wziąłem plecak z jedzeniem i poszliśmy, mając nadzieję, że ich spotkamy. Kierowaliśmy się widokiem wulkanu, przy którym zaparkowaliśmy krecikowóz. Smrodzisław, nie był nawet taki ciężki, jak mi się wcześniej wydawało. Przytulił się do mnie mocno i ruszyliśmy w drogę. Pierwszy raz poczułem braterską więź. Mieliśmy - tu i teraz - tylko siebie.

Po kilku godzinach marszu usłyszałem znajome głosy. To mama i tata nas wołali. Tak bardzo się ucieszyłem, że ich słyszę i krzyknąłem na cały głos – Mamo, tato, tu jesteśmy! – Na drodze do stóp wulkanu!

Chwilę później ich zobaczyłem. Byli przerażeni. Biegli w naszą stronę.

– Na szczęście jesteście cali i zdrowi! – krzyczeli.

Jak emocje opadły, rodzice opowiedzieli nam co się stało.
A więc rodzicie wczesnym rankiem, jak my jeszcze spaliśmy, poszli po drewno na ognisko i się zgubili. Po kilku godzinach jak odnaleźli drogę do miejsca naszego obozowiska, wrócili, a nas już tam nie było. Bardzo się zdenerwowali. Zobaczyli, że nie ma plecaka z jedzeniem, a ślady naszych stóp prowadzą w stronę wulkanu. Domyślili się, że zawróciliśmy w stronę naszego krecikowozu i szybko udali się w naszym kierunku.
Już sam nie wiem, kto kogo szukał. Czy my rodziców, czy rodzice nas. Najważniejsze, że nic nikomu się nie stało.
Mimo, tego, że rodzice byli ciut na mnie źli, że nie czekaliśmy tam na miejscu, aż wrócą (zawsze nam mówili, aby na nich czekać), to fakt, iż zaopiekowałem się bratem, zrekompensował ich złość. Cieszyli się, że nic nam się nie stało, a ja stanąłem na wysokości zadania bycia starszym bratem. A mi to bardzo się spodobało. Poczułem się wtedy, jak ktoś ważny i wyjątkowy. Od tamtej chwili Bambaryła Smrodzisław jest dla mnie Rafałem, a raczej bratem Rafałkiem. Mimo różnicy wieku, lubię z nim spędzać czas i się nim opiekować. Nie zawsze się zgadzamy, czasem nawet sprzeczamy, zwłaszcza jak przeszkadza mi w kręceniu moich filmów na Youtuba, ale jesteśmy braćmi i zawsze tak będzie!
A tymczasem planujemy już kolejne wspólne wakacje, ale tym razem w miejsce, gdzie nie można zgubić się tak łatwo.

Emila Chojnacka, Gabriela Chojnacka

Wicherkowe rozterki

(III miejsce)

Pewnego pięknego, czerwcowego dnia mały źrebak nazywany Wichrem poluzował sobie podkowę podczas szalonej gonitwy po lesie. Parskał z bólu na lewo i prawo, aż usłyszała go ze stajni mama. Obejrzała spokojnie jego kopytko i poprosiła, żeby przestał płakać.

– Skarbie, niestety, ja nie mogę ci pomóc – powiedziała z troską w głosie. – Tu może zaradzić tylko kowal.

– Mamusiu, a kto to jest kowal? – spytał przestraszony Wicher.

– Taki pan, który naprawia nam, konikom, podkowy – wyjaśniła mama.

– A czy on tu jest? Czy mi pomoże? Czy to będzie boleć? – dopytywał się źrebaczek.

– Nie mogę cię zapewnić, że nic nie poczujesz. Ale na pewno będzie mniej boleć niż teraz. Spójrz, masz zaczerwienione i spuchnięte kopytko! Najlepiej, jeśli zaraz pójdziemy do kowala! – zadecydowała klacz.

– Już? Teraz? Ojej... a jest to naprawdę potrzebne?

Wicher próbował się wymigać, choć kopytko bardzo go bolało.

Mama potrząsnęła swoją piękną, brązową grzywą i powiedziała:

– Kowal musi obejrzeć twoje kopytko. Oczyści je i posmaruje specjalną maścią. Wtedy będziesz wyleczony i już nie będzie cię bolało.

– A jeśli się okaże, że ta maść mi nie pomoże? To co wtedy? – Wicher

był zrozpaczony.

– To wtedy będzie musiał podkuć cię na nowo – uśmiechnęła się mama.

– O nie! Nie chcę żadnego kucia! – Wicher krzyczał rozpaczliwie.

– Wicherku, przecież chcesz, żebym ci pomogła, bo cię boli. Chodź, pójdziemy razem – zaproponowała mama.

Po krótkim zastanowieniu Wicher powiedział:

– Wiesz, mamo... chyba już mnie przestało boleć. Nie musimy iść do tego kowala. Naprawdę mi przeszło.

Mama spojrzała na niego i zmrużyła oczy.

– Hmmm... Skoro tak mówisz... W takim razie bardzo się cieszę. Ale jeśli znowu cię zaboli, zawołaj mnie, dobrze?

– Dobrze, mamo.

Wicher był zły, gdyż tak naprawdę dalej bardzo bolało go kopytko, ale nie miał zamiaru zjawiać się u kowala. Strasznie się go bał.

Kiedy mama wróciła do stajni, źrebak podreptał powoli w stronę stodoły. Było to jedno z jego ulubionych miejsc do zabawy. Dziś było tam pusto. Luis i Rum przebywali na pastwisku, a Roma pojechała na przejażdżkę ze swoją właścicielką. W kącie stodoły znalazł swoją zabawkę - małego, pluszowego konika. Chwycił go w pysk i potrząsnął nim. Pomyślał, że lepiej być pluszowym konikiem, bo przynajmniej się wtedy nie choruje i nie chodzi na wizyty do kowala.

Wicher postanowił położyć się na sianku. Nawet nie wiedział, kiedy zasnął, zmęczony płaczem i bólem kopytka. Nagle ocknął się, bo usłyszał jakieś dziwne głosy. Rozejrzał się wokoło i zobaczył swojego konika, jak rozmawia z krzesłem.

– Wiesz, Wicherka boli kopytko – powiedział konik.

– Oj, to niedobrze. Trzeba jak najszybciej pójść do kowala – zadecy-

dowało krzesło.

– Nie wolno zwlekać, nie wolno! – lamentował konik. Spójrz na mnie. Widzisz, ile mam dziurek? I nawet mam odprute jedno oko. Ja też muszę być leczony, bo inaczej niedługo całkiem się rozpadnę i nic ze mnie nie będzie – mówiąc to, konik westchnął.

– No to co zrobić, żeby przekonać Wicherka do pójścia do kowala? – zastanawiało się krzesło. – Jesteś jego ulubioną zabawką, musisz mu jakoś pomóc!

– Ależ ja to rozumiem, tylko nie wiem, jak mógłbym przekonać Wichra. Domyślam się, że bardzo boi się bólu. W końcu i tak nie wytrzyma i będzie musiał pójść do kowala, ale może być już za późno. Do kopytka wda się zakażenie i trzeba będzie przeprowadzić operację - ponuro stwierdził pluszowy konik.

Krzesło zaskrzypiało, gdyż zaczęło intensywnie myśleć.

– A może wśród innych zabawek na ranczu jest jakiś kowal albo ktoś, kto zna się na końskich kopytkach i mógłby przekonać naszego Wicherka? – podsunęło pomysł krzesło.

– Ooooo... To świetna myśl! Dziękuję za radę! Pójdę go poszukać, przecież nie pozwolę, żeby mój przyjaciel tak cierpiał!

Słysząc te słowa, Wicher nagle się odezwał, ku zdumieniu konika i krzesła:

– Bardzo was przepraszam... Niechcący słyszałem Waszą rozmowę... Dziękuję, że chcecie mi pomóc i tak się o mnie martwicie. Może poszlibyście razem ze mną? Zawsze to będę czuł się raźniej i pewniej w towarzystwie przyjaciół. Przy okazji dowiem się czegoś więcej o pracy kowala. Nie myślcie sobie, że jestem tchórzem! Po prostu byłem zaskoczony i zdezorientowany, no, a poza tym to miałem za mało informacji o tym kowalu.

– Aha... Za mało informacji... – zdziwiło się krzesło.

– No to powiedzcie mi, gdzie jest ten kowal? – dopytywał Wicherek.

– W sklepie z zabawkami w miasteczku na pewno będzie kowal. I może nawet będzie akurat w swojej kuźni. Musimy się pospieszyć, bo sklep zamykają za godzinę – poinformował konik.

– Skąd wiesz, że tam będzie kowal? Byłeś już u niego? – spytał Wicher.

– Nie, ja nie byłem. Ale słyszałem, że był u niego niedawno Luis – odparł konik.

– No, dobrze, to chodźmy! – powiedział zdecydowanym głosem źrebak.

Gdy przechodzili obok stajni, Wicher zerknął na boki, czy gdzieś przypadkiem nie stoi jego mama. Trochę było mu wstyd, że ją okłamał.

Niepostrzeżenie wymknęli się poza ogrodzenie i znaleźli się na polnej drodze, która prowadziła do pobliskiego miasteczka. Wicher szedł na końcu, z powodu bolącego kopytka. Po niepełnym kwadransie ujrzeli pierwsze sklepy. Minęli rondo i znaleźli się przed ogromnym sklepem z zabawkami. Na wystawie siedziały uśmiechnięte lalki, pluszowe misie, a konik na biegunach wręcz puścił do nich oko, zapraszając tym samym do wejścia do środka. Kiedy weszli, zobaczyli mnóstwo zabawek! Nie sposób było ich policzyć! Zaczęli się rozglądać wokoło, ale nigdzie nie zauważyli ani kuźni, ani kowala.

– Może jednak go tu nie ma? – zmartwił się konik, ale po chwili krzyknął:

– O tam! Na drugiej półce jest weterynarz! Widzę też jego gabinet! Pójdę do niego. Może on nam coś doradzi? Zaczekajcie, zaraz się wszystkiego dowiem!

Wicherek po chwili zobaczył, jak jego ukochany, pluszowy konik pędem

wskakuje na jedną półkę, potem na drugą i już rozmawia z weterynarzem. Źrebak niestety nie słyszał, o czym rozmawiają, bo w sklepie panował gwar.

Po kilku minutach konik przybiegł z informacją, na którą czekali.

– Ale mamy szczęście! Kuźnia kowala znajduje się na drugim piętrze. Ale musimy się pospieszyć, bo podobno ktoś już ją zamówił!

Czym prędzej udali się na drugie piętro sklepu. Kluczyli między różnymi regałami zapełnionymi rozmaitymi zabawkami. Nagle, na samym końcu, przy ścianie, zobaczyli jakieś zamieszanie. Podeszli zaciekawieni.

– Czy tutaj znajdę kowala? – spytał grzecznie Wicherek.

– Tak. Ale musicie czekać, jest kolejka – odpowiedziała Rainbow Dash.

Wicherek rozpoznał ją. To przecież jedna z kucyków Pony! Obok niej stała jeszcze księżniczka Cadence i Pinkie Pie.

Nagle do Wicherka podeszła jakaś lalka ubrana w biały fartuszek.

– Dzień dobry! Czy byliście umówieni na wizytę do kowala? Jestem pielęgniarką i też tutaj pracuję.

Wicherek nie wiedział, co odpowiedzieć. Na szczęście pomógł mu pluszowy konik.

– Niestety, nie byliśmy umówieni. Zdarzył się nagły wypadek – powiedział i wskazał łapką źrebaka. – Mój przyjaciel zwichnął sobie kopytko, poluzowała mu się podkowa i bardzo go boli.

Wicherek znowu się przestraszył i zaprzeczył:

– Nie, nie... Aż tak mnie nie boli. Właściwie to przyszedłem tylko sprawdzić, jak pracuje kowal.

Konik i krzesło spojrzeli na niego zdziwieni. Natomiast pielęgniarka uśmiechnęła się i powiedziała do czekających w kolejce:

– Bardzo proszę przepuścić tego źrebaka...

Ilustracja: Małgorzata Kutkiewicz

Miał wypadek i potrzebuje pomocy. Bardzo go boli – dodała.
I już po chwili Wicher znalazł się w kuźni kowala. Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Stanął w progu i przerażonymi oczkami rozglądał się wokoło. Krzesło szturchnęło go w bok, a pluszowy konik popchnął go lekko do przodu.
Kuźnia kowala była dość przestronna. Na środku znajdowało się duże palenisko, a obok stało ogromne kowadło. Wicherek zerkał z zainteresowaniem. Po prawej stronie wisiały różne rodzaje młotków i kleszczy. Na stoliku leżał długi, ciemny fartuch i ochronne rękawice. Kowal właśnie wstał z krzesła.

– Bardzo proszę, śmiało, śmiało! – powiedział zachęcająco i wskazał na krzesełko. Wicherek usiadł posłusznie. Całkiem wygodne to krzesełko! I ma takie miłe, aksamitne siedzenie!

– A teraz pokaż nam, co się stało... – powiedział kowal i obejrzał kopytko źrebaka – rozumiem już, czemu cię boli – odrzekł po chwili.
Kowal podszedł do swojego kuferka, pogrzebał w nim i wyjął jakiś słoiczek. Delikatnie chwycił kopytko Wicherka i posmarował je specjalną maścią, łagodzącą obrzęki i uśmierzającą ból.
Wicherek poczuł w momencie ulgę. Cieszył się, że przyjaciele tu z nim przyszli.

– Zanim naprawię twoją podkowę, najpierw pokażę ci przedmioty, które nam w tym pomogą. To będą nasze magiczne lekarstwa! – wskazał na młotki i kleszcze.

– Jak to lekarstwa? Przecież to są narzędzia – zdziwił się źrebak.

– Tak, to będą nasze lekarstwa. Ja będę lekarzem, a ty będziesz moim asystentem do walki z opuchniętym kopytkiem. Nie dam sobie rady bez twojej pomocy. Będziesz mi pomagał z tą poluzowaną podkową. Musisz podnieść kopytko do góry i cały czas pilnować, żeby nie opadło w dół.

To bardzo odpowiedzialne zadanie!

– A czy to będzie bolało? – spytał Wicher.

– No wiesz, podczas różnych zabiegów lekarskich nigdy nie jest łatwo, a choroba, która dosięgła twoje chore kopytko, to taki rodzaj naszego przeciwnika. Musimy ją wspólnie pokonać, póki jeszcze nie jest za późno. Dlatego potrzebuję dobrego asystenta – tłumaczył cierpliwie kowal – może się zdarzyć, że przez chwilkę cię zaboli. Jeśli poczujesz ból, parsknij, wtedy obierzemy inną strategię, dobrze?

Kowal podszedł do swojej kolekcji młotków i kleszczy i wybrał te najpotrzebniejsze. Następnie podał je Wicherkowi:

– Bardzo proszę o zdezynfekowanie tych lekarstw – oznajmił. – Proszę, tu jest odpowiedni płyn do odkażania – mówiąc to, wskazał na buteleczkę obok.

Wicherek potrząsnął grzywą i nagle poczuł się bardzo ważny. Wiedział, że musi stanąć na wysokości zadania. W końcu był asystentem lekarza! Oczami wyobraźni zobaczył siebie w białym fartuchu, a kowala ubranego w niebieski, lekarski fartuch z przewieszonym na szyi stetoskopem. Zdezynfekował posłusznie przedmioty i spojrzał na swoje obolałe, spuchnięte kopytko. Zdecydowanie trzeba temu zaradzić! Doskonale zdawał sobie sprawę, że tu pomóc może tylko lekarz... no i jego asystent!

– Trzeba teraz wyciągnąć starą podkowę, żeby nie wdało się zakażenie – mówił kowal-lekarz. Mój drogi asystencie, pełno w tym kopytku bakterii i zarazków, które spowodowały tą opuchliznę. Chciały żebyś cierpiał i żeby cię bardzo bolało. Nie pozwolimy im na to! Musimy je wspólnie zniszczyć!

– Tak! Pokonamy ich! – zarżał Wicher.

– Tylko musimy działać szybko i zdecydowanie. Pamiętaj, że bakterie i zarazki nie lubią czystości, dlatego musisz pamiętać, żeby zawsze czyścić

swoje kopytka, najlepiej codziennie! Musisz też uważać, na jakim podłożu galopujesz - czy jest to teren kamienisty, piaszczysty, czy może grząski. Nie możesz też za bardzo obciążać się podczas swoich treningów, bo możesz częściej uszkadzać sobie kopytka. A teraz oczyścimy twoje kopytko małym wiertełkiem – powiedział kowal-lekarz. Następnie poproszę cię o podanie kleszczy, abym mógł wyciągnąć starą podkowę. Co ty na to, mój asystencie?

– Oczywiście, że się zgadzam! – Wicher posłusznie podał mu małe wiertełko i kleszcze. Kowal-lekarz już po chwili czyścił wiertełkiem przestrzenie wokół podkowy, aż do ostatniego skrawka, ostatniego śladu bakterii. Następnie chwycił kleszcze i powoli wykręcał starą podkowę. Wicherek cały czas bacznie obserwował te poczynania. Kiedy lekarz-kowal założył nową, czystą podkowę, postukał w nią młoteczkiem i posmarował wokół niej specjalną maścią, źrebak poczuł, jak ból ustępuje. Nawet się uśmiechnął i parsknął radośnie. Pluszowy konik i krzesło pomachali do niego.

– No... Mam nadzieję, że czujesz się już dobrze. Dziękuję ci za pomoc. Bez ciebie chyba bym sobie nie poradził – kowal pogłaskał po chrapach Wicherka. – Mam nadzieję, że jeszcze nie raz do mnie przyjdziesz.

– Oczywiście! Będę też uważał podczas galopu i dbał o czystość moich kopytek, żeby znowu bakterie się tam nie zagnieździły. Będę też pana odwiedzał, by sprawdzać, czy wszystko jest w porządku z moimi podkowami – obiecał Wicherek.

– Brawo! Jesteś nie tylko dzielny, ale też mądry! – pochwalił go kowal. Po powrocie na ranczo Wicherek podziękował swoim przyjaciołom za pomoc i wsparcie. Kiedy dotarli już na miejsce, źrebak poszedł poszukać swojej mamy. Nagle usłyszał jej głos:

– Wicherku, Wicherku! Obudź się!

Źrebak przetarł oczy. Leżał na swoim sianku w stodole, razem ze swoim ukochanym pluszowym konikiem. Mama pochylała się nad nim z troską i spytała:

– Przyszłam spytać, jak twoje kopytko? Czy wciąż boli?

– Nie – odparł Wicherek zgodnie z prawdą – Ale chciałbym pójść do kowala, bo nie chcę, żeby bakterie i zarazki zagnieździły się w moich kopytkach. Poza tym chcę co jakiś czas sprawdzać, czy moje podkowy są w dobrym stanie.

Mama źrebaka spojrzała na niego zdziwiona. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Potrząsnęła więc z zadowoleniem swoją grzywą.

– Och, Wicherku... Jaki ty jesteś mądry!

Po czym polizała synka po pysku.

Agnieszka Klimas

Zmyślony problem Basi

(wyróżnienie)

Był pochmurny, wrześniowy dzień. Podczas śniadania mama Sowa uważnie przyglądała się swojej córeczce Basi. Zaniepokojona zapytała:

– Basiu, dlaczego wciąż jesteś taka smutna? Czy w szkole wszystko w porządku?

Sówka, zapatrzona w odległą taflę odparła:

– Tak, nic się nie dzieje mamusiu.

W głosie Basi słychać było jednak smutek. Mama nic nie odpowiedziała, ale wiedziała, że musi znaleźć sposób, aby porozmawiać z córką. Odprowadzając ją do szkoły, zauważyła, że koleżanki z klasy na widok Basi zaczęły między sobą rozmawiać i śmiać się. Basia szybko pożegnała się z mamą i wbiegła do szkoły, nie mówiąc nawet nikomu „cześć". Mama była już pewna, że problemem Basi są jej relacje z koleżankami. Nie wiedziała jeszcze tylko, co może być tego przyczyną. Wracając do domu zastanawiała się nad tym wszystkim.

Po lekcjach Basia szybko zjawiła się w domu. Jednak jej powrót był zupełnie inny niż zazwyczaj. Wbiegła zapłakana do przedpokoju, rzuciła na podłogę plecak, coś z wielkim hukiem wrzuciła do śmieci i nie witając się z mamą, schowała się w swoim pokoju.

– Co to było? – zastanawiała się mama.

Podeszła do kosza ze śmieciami. W tym momencie wszystko stało się jas-

ne. Na dnie leżało kolorowe etui, które Basia dostała w prezencie urodzinowym, a w nim potrzaskane okulary. Sowa wyjęła je ostrożnie, wytarła ściereczką i położyła na stole kuchennym. Nie chciała teraz przeszkadzać córce. Wiedziała przecież, że to byłby zły moment.

– Poczekam, niech opadną emocje, wtedy porozmawiam z Basią – pomyślała i wróciła do gotowania obiadu.

Kiedy tata Basi wrócił z pracy, mama o wszystkim mu opowiedziała.

– Myślę, że w szkole śmieją się z naszej córeczki, ponieważ jako jedyna w klasie nosi okulary.

– Musimy koniecznie z nią porozmawiać. Zrobimy to po obiedzie – odparł tata.

Mama zawołała Basię na obiad. Niestety mała Sówka długo nie schodziła, więc tato postanowił pójść do jej pokoju. Basia leżała na swoim łóżku bardzo zapłakana.

– Nie pójdę więcej do szkoły – powiedziała. – Nie cierpię mojej klasy, oni wszyscy są okropni.

– Chodź na obiad, mama ugotowała pyszną zupę – powiedział do niej tata, jakby nic się nie stało. – Potem porozmawiamy.

Zeszli razem do jadalni, przy stole panowała cisza. Słychać było szum drzew znajdujących się nieopodal domu.

– Basiu, pomożesz mi posprzątać ze stołu? – zapytała mama, kiedy skończyli jeść, z nadzieją, że córka choć na chwilę zapomni o tym co się stało.

Basia wstała i bez słowa zaczęła zbierać naczynia. Kiedy wszystko już było umyte, mama zrobiła pyszną lemoniadę z ulubioną przez Basię korą brzozy i poprosiła córkę, aby razem z tatą usiedli wszyscy na tarasie.

– Basiu, znalazłam to w kuchni – i pokazała Basi stłuczone okulary oraz brudne etui.

Ilustracja: Bartłomiej Sita

Basia przez chwilę nic nie mówiła, spuściła wzrok, ale nie miała już chyba siły płakać.

– Bo, bo oni się ze mnie śmieją, nazywają mnie okularnicą. Nikt mnie już chyba nie lubi przez te okulary – mała sówka jednak nie wytrzymała i w tym momencie rozpłakała się znowu.

Mama mocno ją przytuliła i pozwoliła się jej wypłakać. Kiedy już Basia się uspokoiła mama powiedziała:

– Córeczko, czy pamiętasz naszą wizytę u pani doktor? Okulistka mówiła wtedy, że Twoje oczka potrzebują pomocy, nie poradzą sobie bez okularów, ponieważ są trochę osłabione. Powiedziała też, że jeśli będziesz je nosiła regularnie, to z czasem Twój wzrok się poprawi. Masz więc dużą szansę, żeby je ściągnąć. Basia przetarła zapłakane oczy. Popatrzyła na rodziców, ale ni stąd ni zowąd znowu się rozpłakała. Mama z tatą popatrzyli na siebie z zakłopotaniem.

– I co z tego! – krzyknęła nagle Basia – i tak nie pójdę w nich do szkoły!

Wstała gwałtownie z drewnianej ławeczki i uciekła z płaczem do swojego pokoju.

– Będę musiała porozmawiać z panią w szkole – stwierdziła mama. Potem pozbierała szklaneczki po lemoniadzie i poszła do kuchni. Tata krążył zamyślony po podwórku, zastanawiał się, jak mógłby pomóc swojej córeczce, która tak bardzo cierpi. W pewnym momencie przyszedł mu do głowy świetny pomysł. Zniknął na kilka godzin w garażu, skąd przez cały czas dochodziły dziwne odgłosy. W tym samym czasie mama Basi zadzwoniła do jej wychowawczyni.

Rankiem Basia z wielkim trudem wstała z łóżka. Nie chciała iść do szkoły, ale wiedziała, że musi, ponieważ nie może pozwolić sobie na opuszczenie lekcji, bo wtedy będzie miała zaległości w nauce.

Mama z tajemniczym uśmiechem powiedziała na pożegnanie:

– Nie martw się córeczko, zobaczysz, że wszystko się jakoś ułoży – włożyła do plecaka Basi śniadanie i butelkę wody.

– Sówka powoli szła do szkoły. Nie zależało jej na koleżankach, więc nie rozglądała się po drodze. Szła przed siebie i śpiewała swoją ulubioną piosenkę.

Kiedy weszła do klasy, ściągnęła plecak i usiadła do swojej ławki, nie oglądając się na nikogo. Nagle podniosła głowę i nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Wszyscy, nawet pani nauczycielka, mieli założone na nosie okulary. To były okulary z kolorowych drucików, wyglądały naprawdę śmiesznie. Tylko Basia nie miała swoich, ponieważ dzień wcześniej je potrzaskała. Wszyscy uśmiechali się do niej życzliwie. Wtedy też w drzwiach stanęli rodzice Sówki, którzy również mieli takie śmieszne okulary. Sówka z radości nie mogła powstrzymać łez. Tym razem były to łzy szczęścia. Podbiegła do mamy i mocno się przytuliła. W tym samym momencie wszystkie koleżanki pojawiły się koło Basi i zaczęły ją również przytulać. Basia zrozumiała, że to ona sama wmówiła sobie, że wszyscy śmieją się z jej okularów. A tak wcale nie było. W rozmowie mamy z panią nauczycielką wyjaśniło się, że inne dzieci podziwiały Basię i też chciały mieć takie okulary. Sówka przyznała się także mamie, że ona sama wymyśliła to, że dzieci nazywają ją okularnicą, bo wstydziła się nosić okulary. Obiecała też, że swoje kieszonkowe przeznaczy na zakup nowych okularów. Basia teraz już wie, że od razu powinna o swoim problemie porozmawiać z rodzicami, na których zawsze może liczyć.

To był szczęśliwy dzień dla Basi, która w końcu polubiła swoje okulary.

Mateusz Kawka, Daniel Kawka

Spostrzegawcza mysz

(wyróżnienie)

W leśnej klasie w Ustrzykach Dolnych zwierzęta uczyły się niezbędnych do przeżycia umiejętności. Chowania się przed drapieżnikami, szukania zdrowego pożywienia i budowy schronienia. Wychowawczynią była mądra sowa Sonia o szarych piórach. W klasie uczyły się łoś, króliki, wiewiórki, jelenie oraz myszka Cichoszka.

Cichoszka mieszkała na strychu starego domu, którego właścicielami byli hodowcy krów rasy Charolaise. Nasza bohaterka nosiła na głowie czerwoną kokardkę z obrazkami sera. Miała dwie siostry i trzech braci, z którymi lubiła bawić się na pastwisku.

Cichoszka była bardzo nieśmiała. Miała przez to niewiele koleżanek i kolegów. Rzadko zgłaszała się w klasie, ponieważ bała się, że powie coś niemądrego. Nie wiedziała, że szkoła jest właśnie po to, aby uczyć się na błędach.

Pewnego wiosennego dnia pojechali na wycieczkę do Puszczy Białowieskiej. Wszyscy uczniowie byli rozbiegani i hałaśliwi, tylko Cichoszka szła po cichutku sama. Nagle usłyszała niepokojący dźwięk, na który zawsze zwracali jej uwagę rodzice. Zaalarmowała swoją wychowawczynię, która nakazała wszystkim schować się pod konarem drzewa. Łoś miał z tym problem, ale on akurat, dzięki długim racicom mógł szybko uciec.

Ilustracja: Małgorzata Kutkiewicz

Zagrożeniem okazał się lis. Nie zauważył on jednak uczniów siedzących pod konarem drzewa i pobiegł dalej szukać łatwiejszego pożywienia.
Dzięki swojej spostrzegawczości Cichoszka uratowała całą klasę. Od tej pory wszyscy akceptowali wyjątkowy charakter myszki i podziwiali jej spostrzegawczość. Po lekcjach Cichoszka nadal lubiła czytać książki o gryzoniach podbijających kosmos. Poza tym kilka razy w tygodniu odwiedzali ją przyjaciele z którymi lubiła bawić się między kopytami ogromnych krów.

Jolanta Książek, Kinga Książek

Mysi świat

(wyróżnienie)

Pewnego razu żyła sobie myszka Fredzia. Mieszkała z rodzicami i sąsiadami na pięknej łące w ciemnej i przytulnej norce. Jak myszka Fredzia wychodziła do szkoły to zawsze spotykała Pana Kreta, jej sąsiada. Pan Kret był budowniczym i kopał w ziemi korytarze. Codziennie uprzejmie mówili sobie „dzień dobry" na powitanie. W mysiej szkole rówieśnicy spotykali się ze sobą, bawili się i rozmawiali. Myszka Fredzia często przypatrywała się zwierzątkom, ale nie zawsze była chętna do wspólnej zabawy. Pewnego razu córka Pani Myszarki bawiła się z innymi myszkami biegając szybko dookoła. Nagle przystanęła i zapytała myszkę Fredzię, która właśnie zjadła żółty serek.

– Myszko, czemu nie bawisz się z nami?

Myszka Fredzia wydała z siebie tylko krótki dźwięk „pi", „pi" i uciekła do kącika. Zdziwiona Myszarka pobiegła dalej się bawić.

Po szkole myszka Fredzia zawsze wracała z córką Pani Nornicy i synem Pana Szczura do domu. Zwierzątka w czasie powrotu dużo ze sobą rozmawiały i śmiały się. A gdy pytały o coś myszkę Fredzie, ta często była zalękniona i nie wiedziała co odpowiedzieć. Robiła wtedy duże oczy, stawała nieruchomo na tylnych łapkach, po czym szybko dreptała do przodu.

Pewnego dnia wróciła do swojego domu – mysiej norki, zobaczyła mamę, gotującą pyszny obiad. Tata natomiast bawił się z jej braćmi i siostrami, i od czasu do czasu czytał gazetę „Mysi Dziennik". Myszka Fredzia zapytała mamę:

– Kiedy zjemy obiad?

– Fredziu, na obiad musimy poczekać jeszcze chwilę. Akurat zdążysz pobawić się z rodzeństwem – odpowiedziała.

Myszka Fredzia była zaskoczona odpowiedzią mamy. Nie miała chęci bawić się z rodzeństwem, które radośnie biegało po mysiej norce. Chciała zająć się swoją pasją. Zgodziła się z mamą, ale zrobiła inaczej i ukradkiem wyszła z domu. Zaraz potem pobiegła na kwiecistą i kolorową łąkę podskakując z łapki na łapkę. Ale gdy nagle zatrzymała się przy wysokiej trawie, wzięła do łapek kawałek ziemi i próbowała zrobić coś w kształcie kwiatka. Myszce Fredzi najpierw ziemia trochę się rozsypywała, ale już po krótkiej chwili udało się jej ulepić piękny kwiatek. Starała się ze wszystkich sił i czuła się naprawdę szczęśliwa. Tak bardzo, że zupełnie zapomniała o obiedzie. Postanowiła, że zostawi rzeźbę na łące i przykryje ją dużym zielonym liściem, tak aby nikt z mieszkańców jej nie zobaczył. Myszka Fredzia w pośpiechu wróciła do domu, a przy wejściu spotkała Panią Nornicę. Była ona lekarką i pomagała, gdy zwierzątka były chore albo skaleczone. Zatrzymała biegnącą myszkę Fredzię i zagadnęła do niej:

– Dzień dobry Fredziu! Masz dzisiaj czyste i lśniące futerko. Wyglądasz na zdrową.

– Dzień dobry! Tak, czuje się zdrowa i wesoła – odpowiedziała.

– Pani Nornica pomachała łapką i z uśmiechem zawołała „do widzenia", bowiem była ona bardzo miłą sąsiadką.

Kiedy myszka Fredzia weszła do domu, w mysiej norce pachniało obiadem. Po chwili usłyszała jak mama z tatą głośno ze sobą rozmawiają.

I razem z rodzeństwem chrupią coś ząbkami. Nie czekając podeszła bliżej do taty. Wtedy właśnie Tata Myszka przełknął ziarenko pszenicy i powiedział:

– Przeczytałem w gazecie „Mysi Dziennik", że w szkole ma się odbyć festyn. Podobno mieszkańcy mogą coś od siebie na niego przygotować. Na przykład przekąski, smakołyki albo dekoracje.

Myszka Fredzia wraz z rodzeństwem bardzo słuchała taty. Aż tu nagle wszystkich domowników ogarnęła prawdziwa radość. Myszki skakały ze szczęścia, turlały się i przytulały. Po chwili myszka Fredzia odsunęła się na bok, zamknęła oczy i rozmarzyła się na długo. Było to dla niej duże przeżycie, ponieważ była malutkim i wrażliwym zwierzątkiem. Poczuła, że chce pomóc swoim sąsiadom w szczególny sposób. Potrafiła przecież wspaniale rzeźbić i tworzyć ciekawe konstrukcje. Była zdolną myszką, ale nikt o tym jeszcze nie wiedział.

Minęły dwa dni i dwie noce. W tym czasie myszka Fredzia wymykała się na łąkę niedaleko mysiej norki. Miała bowiem pomysł jaką niespodziankę przygotuje sąsiadom. A, że była mądrą myszką o dobrym sercu pomyślała, że ulepi rzeźbę z ziemi dla Pana Szczura. Był on uczonym zwierzątkiem. Pracował w Mysiej Akademii i dużo czytał naukowych książek. Często pokazywał je myszce Fredzi w swojej szczurzej norce. Była nimi zachwycona i chętnie je oglądała. Wiedziała, że jak dorośnie będzie mogła kilka z nich przeczytać. Co byłoby dla niej prawdziwą przyjemnością. I dlatego Pan Szczur lubił myszkę Fredzię, choć była nieco nieśmiała. Myszka Fredzia siedząc nadal na łące, przypomniała sobie jeszcze o Pani Nornicy. Była lekarką, ale brakowało jej miejsca, w którym leczyłaby mieszkańców łąki. Myszka Fredzia chcąc uszczęśliwić Panią Nornicę postanowiła, że zbuduje małą lecznicę z gałązek i patyków. Tak bardzo spodobały się jej własne pomysły, że aż podskoczyła z radości. Niechcący potknęła się

o leżące kamyki i usiadła na jednym z nich. W tym momencie pomyślała o Panu Krecie. Żal jej się zrobiło ślepego sąsiada. Zamknęła więc oczy, aby móc sobie lepiej wyobrazić, jak wygląda jego świat. Jak ciężko jest mu pracować niczego nie widząc. Zdecydowała więc, że podaruje mu kamyki które, posłużą jako narzędzia do kopania korytarzy. Tym bardziej, że od kilku dni zbierała je na łące.

Kiedy myszka Fredzia zobaczyła zachodzące słońce, pomyślała, że już czas wracać do domu. Sprytnie przebiegła przez łąkę i tuż przed wejściem do swojej mysiej norki, spojrzała w stronę domu Pani Myszarki. Wtedy westchnęła i powiedziała sama do siebie:

– Biedna sąsiadka. Nie może nawet wyjść z norki do swojego ogródka.

Pani Myszarka miała chorą nogę i kulała na nią. Nie chodziła też po schodach, bo bała się, że upadnie. Była niepełnosprawna. I właśnie dlatego myszka Fredzia zawsze myślała o niej w wyjątkowy sposób. A, że miała głowę pełną pomysłów, postanowiła, że zbuduje podest w ogródku z twardej ziemi i liści. Aby Pani Myszarka mogła łatwo wychodzić z domu, a nie tylko wyglądać przez okno na sąsiadów.

Do festynu pozostało niewiele czasu. Myszka Fredzia każdy dzień spędzała na łące. Była bardzo zapracowana. Zdarzało jej się, że zapominała nawet o powrocie do domu. Kiedy to pewnego popołudnia wychodząc z mysiej norki, zatrzymała ją mama Myszka i zapytała:

– Fredziu, gdzie biegniesz o tej porze? Za kilka chwil słońce zajdzie a po ciemku nie powinnaś sama chodzić. Wiesz, że myszki wtedy gorzej widzą.

Myszka Fredzia przystanęła, ale nie mogła ze strachu nic powiedzieć, więc cicho pisnęła: „pi, pi". Mama Myszka chcąc załagodzić lęk, przytuliła ją do siebie. Duże oczy myszki Fredzi powoli zmniejszały się do

właściwych rozmiarów. A przestraszone serce uspakajało swój rytm. Myszka Fredzia czuła, że bycie blisko mamy przynosi jej ulgę. Przecież była jeszcze małą myszką i potrzebowała takiego pocieszenia. Tuląc ją, mama Myszka wiedziała, jak bardzo ją wspiera. Tym razem myszce Fredzi udało się pokonać strach i odważyła się powiedzieć mamie o swoich zamiarach i niezwykłej pasji.

Minęły trzy dni i trzy noce, nastał dzień festynu. Wszyscy mieszkańcy rozpoczęli przygotowania na szkolnej łące. Było bardzo głośno. Zwierzątka rozmawiały ze sobą o tym jak udekorować przyjęcie. Małe myszki i nornice w swoich ząbkach zbierały suchą trawę i polne kwiatki, układając je w ładne bukiety. Na szkolny festyn przybył też Pan Kret z żoną i dwiema córkami. Wyrównywali oni ziemię, aby Pani Myszarka mogła swobodnie jeździć po niej na swoim wózku. Bowiem poza domem nie potrafiła poruszać się bez niego. Pani Myszarka od dawna czekała na dzień, w którym mogłaby wyjść na świeże powietrze.

Było ciepłe, letnie i bezchmurne przedpołudnie. Słońce świeciło wysoko na niebie. Zwierzątka w oddali słyszały odgłosy ptaków, które pięknie śpiewały. Nadsłuchiwały ich z ciekawością czekając na Panią Nornicę. Kiedy przydreptała, w łapkach trzymała przekąski zbożowe oraz pyszne robaczki, które cudownie pachniały. Mieszkańcy podbiegli do Pani Nornicy, aby pomóc jej w rozdzielaniu przysmaków. Gdy trwały przygotowania i wszystkie zwierzątka zajęte były jedzeniem, nagle pojawił się Pan Szczur. Ubrany był w elegancki frak, a na głowie miał duży kapelusz. Bez namysłu przyłączył się do pozostałych zwierzątek i razem z nimi częstował się smakołykami.

Tak wesołego przyjęcia mieszkańcy łąki jeszcze nigdy nie mieli. Nie ustawały radosne popiskiwania i głośne chichoty. Podczas gdy zwierzątka bawiły się w najlepsze, nieoczekiwanie pojawiła się rodzina myszki Fredzi.

Ilustracja: Bartłomiej Sita

Nagle nastała cisza. Wszyscy znieruchomieli i bardzo się zdziwili, gdy zobaczyli siedem myszek ciągnących olbrzymi liść. Myszki przystanęły na swoich małych łapkach a Tata Myszka sapnął tak mocno, że z głowy Pana Szczura spadł kapelusz. Pozostałe zwierzątka śmiały się tak bardzo, że aż położyły się na ziemi. A Myszka Fredzia podbiegła do liścia i zaczęła po kolei wyjmować podarunki, które zrobiła na tę okazję. W tym czasie Mama Myszka powiedziała:

– Nasza córka Fredzia przygotowała dla Was wyjątkowe niespodzianki! Zupełnie sama. Nawet nasza mysia rodzina nic o nich nie wiedziała.

Mieszkańcy ucieszyli się i długo klaskali w swoje małe łapki. Sprytna myszka Fredzia nie czekając ani chwili dłużej, wręczyła Panu Kretowi narzędzia z różnych kamyków. Pan Kret powąchał wszystko swoim czułym nosem i podziękował serdecznie. Zaraz potem myszka Fredzia szybko podbiegła do olbrzymiego liścia po kolejny prezent. Pan Szczur, kiedy zobaczył rzeźbę był nią zachwycony, bo była dla niego szczególną pamiątką. Nie tracąc czasu, myszka Fredzia podreptała jeszcze raz w kierunku liścia, na którym stała niewielka konstrukcja. Była ona przeplatana gałązkami i patykami w bardzo dokładny sposób. Pani Nornica widząc wspaniały podarunek, przetarła oczy z niedowierzaniem. Z radości pocałowała myszkę Fredzie w pyszczek i mocno do siebie przytuliła.

Wszyscy chórem zaczęli głośno śpiewać piosenkę dla myszki Fredzi. Zawsze wspólnie to robili, w najważniejszych dla nich chwilach. Ten dzień do takich należał. Wiedziała też o tym myszka Fredzia, która była tym wydarzeniem przejęta, tak bardzo, że ani razu nie poczuła się zalękniona. Po prostu czuła się zadowolona z tego co dla mieszkańców dobrego zrobiła. Rozbawiona podreptała do Pani Myszarki, która wygodnie siedziała na wózku, i powiedziała:

– Przygotowałam niespodziankę też dla Pani! Z drobnych liści i twardej ziemi ulepiłam specjalny podest. Będzie Pani mogła zjeżdżać po nim do swojego ogródka.

Pani Myszarka cichym i wzruszonym głosem podziękowała myszce Fredzi za trud włożony w pracę. I wielkie serce. A pozostałe zwierzątka postawiły uszy do góry i z podziwem wpatrywały się w odważną myszkę Fredzie, uśmiechniętą i pewną siebie. Przecież nigdy wcześniej, nikt nie zrobił dla mieszkańców tylu wspaniałych prezentów. Wiedziały, że to najpiękniejszy festyn w ich życiu.

Daria Wesołowska, Oliwer Wesołowski

Kuliś

(wyróżnienie)

Nie tak daleko od nas w leśnej gęstwinie żyła sobie para wilków, która bardzo się kochała. Pewnego dnia z tej wielkiej miłości w cieplutkim wilczym domku na świat przyszło troje puchatych małych wilczków. Pierwszy na świat przyszedł wilczek o pięknych oczkach, tak okrągłych i czarnych, że odbijało się w nich światło księżyca. Na imię dano mu Czaruś, druga urodziła się siostrzyczka, piękna i szczupła jak kwiat więc nazwano ją Lila. Trzeci i ostatni z rodzeństwa urodził się Kuliś. Takie imię wybrano, ponieważ był najmniejszy, nieco korpulentny i kulił się ze strachu. Pomimo różnic w wyglądzie i charakterze rodzice bardzo kochali swoje wilcze pociechy. Otoczone miłością i dobrocią rodzicielską rosły wilczki spędzając czas na zabawach, a przede wszystkich kochając się wzajemnie. Tylko Kuliś widział, że nieco inny aniżeli jego brat i siostra. Najwolniej biegał, bał się hałasu, był mniejszy i brzydszy, jednak miłość rodziców i rodzeństwa wynagradzała mu wszelkie lęki. Czas płynął szybko. Nadszedł dzień pójścia wilczków do szkoły. Szczęśliwe i radosne wilczki nie mogły się doczekać spotkania z innym leśnymi mieszkańcami, ponieważ aż do tej chwili wilcze rodzeństwo spędzało czas tylko w towarzystwie swojej rodziny i były bardzo ciekawe świata.

Nadszedł długo wyczekiwany dzień Czaruś, Lila i Kuliś ubrani w odświętne ubranka zasiedli w szkolnych ławkach.

– Dzień dobry kochane dzieci, jestem Basia i będę waszą nauczycielką – przedstawiła się pani lisiczka.

Wszystkie zwierzątka siedziały spokojnie, słychać było tylko ciche śmiechy na temat wyglądu Kulisia. Oczywiście mały wilczek wszystko słyszał i było mu bardzo smutno. Czarusiowi i Lilii także było przykro. Kochali bowiem swojego braciszka i nie widzieli niczego złego i śmiesznego w wyglądzie ich braciszka.

Rozpoczęła się lekcja. Dzieci uczyły się matematyki, polskiego, a na końcu była lekcja wychowania fizycznego. Jak się można domyśleć dla Kulisia ta lekcja była koszmarem. Nie potrafił odbijać piłki, wolno biegał, a jego drużyna przegrywała Wywołało to złość kolegów i drwiny z powodu jego wyglądu. Tylko Czaruś i Lila stawali w obronie braciszka, lecz to nie pomogło. Kolegów było więcej i słowa przez nich wypowiadane raniły wilcze serduszka.

– Nareszcie koniec tego koszmarnego dnia – powiedziała Lila i z ulgą pobiegła do domku, w którym wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Szczęśliwi zanim rozpoczęła się szkoła.

Wilczki opowiedziały wszystko rodzicom, którzy byli bardzo przejęci z powodu kłopotów ich dzieci w szkole.

– Mamusiu, dlaczego dzieci w szkole mi dokuczają i śmieją się ze mnie? Czy ja jestem brzydki i do niczego się nie nadaję? Pytał Kuliś ze łzami w oczach podczas kolacji.

– Wiesz synku nie jesteś brzydki, każdy z nas jest inny – powiedziała mama wilczyca. – Gdybyśmy wszyscy byli jednakowi świat był nudny. Każdy ma w sobie piękno i jakieś ukryte talenty. Jeden szybko biega, drugi pięknie tańczy, jeszcze inny maluje. Nie jesteśmy tacy idealni, ale możemy być dobrzy. To wszyscy potrafimy. Nasza rodzina kocha ciebie

Ilustracja: Małgorzata Kutkiewicz

najbardziej, a inni kiedyś się przekonają jaki ty jesteś wspaniały i masz dobre serduszko.

Następnego dnia Czaruś, Lila i Kuliś poszli do szkoły. Postanowili również po pierwsze nie przejmować się docinkami kolegów, po drugie zawsze stawać w obronie braciszka, a po trzecie i najważniejsze opowiedzieć o wszystkim pani Basi. Tak też zrobili.

Lekcje rozpoczęły się godziną wychowawczą panią Basią.

– Drogie kochane, wspaniałe dzieci! Mam dla was nowinę. Ogłaszam konkurs talentów, w którym każde zwierzątko pokaże coś co potrafi najlepiej, następnie wygrany zaprezentuje się przed królem lasu. Dzieci były tak przejęte popisywaniem się, że zapomniały o Kulisiu i jego nieporadności. Tak upłynął kolejny tydzień.

Nadszedł wielki dzień. Na leśnej polanie zebrała się cała szkoła. – rozpoczynamy pokaz talentów donośnym głosem mówiła pani Basia. Pierwszy wystąpił lisek Jarek, który niezwykle zręcznie podbijał piłkę kolanem.

– Uuuuuu – słychać było uznanie kolegów.

Kolejny wystąpił borsuk Tadzio, on w rytm skocznej muzyki tańczył, kręcąc piruety, potem Lila – baletnica, Czaruś magik i wiele innych leśnych zwierzątek, które pragnęły wystąpić przed prawdziwą publicznością dla leśnego króla. Przedstawienie dobiegało końca.

Pani Basia zapowiedziała Kulisia. Rozległ się dziecięcy mruk. – Co też ten niezdarny Kuliś może pokazać? Hmm... przecież on skakać nie potrafi, odbijać piłki też nie, nawet fikołka zrobić nie umie.

– Zapraszam Kulisiu.

Pani Basia udawała, że nie słyszy mruczenia leśnych dzieci.

– Odwagi! pamiętaj zrób to z sercem.

Na środku polany lekko przygrabiony i zawstydzony stoi wilczek Kuliś. Bierze do łapki mikrofon i wokół rozlega się cudny głos. Ten niezdarny

na lekcjach w-fu Kuliś śpiewa tak cudnie, że wszystkim odbiera głos z zachwytu. Biją brawa i proszą o bis. Na zakończenie pani Basia wzięła mikrofon i powiedziała:

– Drodzy moi, dziękuję wszystkim, którzy pokazali swoje talenty. Wygrywa Kuliś i on wystąpi przed leśnym królem. Pamiętajcie nie wszystko widać po wyglądzie. Jeden jest wysoki, inny niski, jeden gruby inny zaś bardzo chudy. Każdego trzeba szanować i nie wolno śmiać z niego, a już najbardziej, że czegoś nie potrafi zrobić. Bo wszyscy mamy do czegoś talenty. To pokazał nasz szkolny konkurs.

Od tego dnia wszystkie dzieci inaczej patrzyły już na Kulisia, który wraz z braciszkiem i siostrą polubili chodzić do szkoły. Gdyby nie opowiedzieli o swoich kłopotach mądrej pani Basi ich udręka mogłaby trwać dłużej, a nawet nigdy się nie skończyć.

Maja, Szymon, Marcin Listowscy

Klara i Kokos

(wyróżnienie)

Dawno temu, choć może wcale nie tak dawno, żyła sobie dziewczynka o imieniu Klara. Mieszkała na osiedlu z Mamą i Tatą. W pobliżu jej mieszkania znajdowało się boisko, nieopodal były plac zabaw, szkoła, przedszkole i sklep spożywczy i wielka zielona łąka.

Klara chodziła do przedszkola i zawsze, gdy z niego wracała, wbiegała do swojego pokoju i brała świnkę morską o imieniu Kokos na ręce. Kokos wyglądał jak łupina kokosa i stąd jego niecodzienne imię.

Kokos pojawił się pewnego dnia u nich w domu i stał się nieodłącznym towarzyszem zabaw Klary. Gdy tylko wstawała, głośno domagał się jedzenia, wówczas Klara otwierała lodówkę i wyciągała dla swojego ulubieńca: marchewkę lub ogórek. Wieczorem, nim kładła się spać, dawała mu sianko i specjalną karmę.

Któregoś razu Klara zauważyła, że jej świnka morska zachowuje się inaczej niż zwykle. Gdy jak zwykle wstała z łóżka, Kokos nie dopominał się głośno o swoją, przynależną mu, porcję jedzenia. Klara pobiegła do Mamy i powiedziała, że coś się dzieje niedobrego z Kokosem.

– Kokos jest pewnie chory - powiedziała Mama. – Zadzwonię do pana Błażeja, który jest weterynarzem, żeby przyjechał i obejrzał naszą Świnkę.

Pan Błażej zbadał Kokosa, powiedział, że świnka jest poważnie chora i dał jej zastrzyk, mówiąc, że ma nadzieję, iż zwierzątko wydobrzeje.

Ilustracja: Joanna Ogińska-Sokołowska

Klara razem z Rodzicami troskliwie opiekowała się swoim małym przyjacielem. Niestety, kochanemu zwierzątku się nie polepszyło i Kokos odszedł.

– To nieprawda! - powiedziała Klara. - Może on tylko śpi? – pytała Mamę.

Mama ją mocno przytuliła i powiedziała jej, że... to jest prawda.

Klara poczuła smutek i zaczęła płakać. Brakowało jej Kokosa. Nikt rano nie prosił o jedzenie, głośno kwicząc. A gdy wracała ze szkoły, nie mogła go brać na ręce i się z nim bawić. Dziewczynka nawet nie chciała wychodzić z domu. Klara myślała, czy jej śwince tam, gdzie teraz trafiła, jest dobrze? Czy ma się z kim bawić? Czy nie brakuje jej jedzenia, czy ma pod dostatkiem karmy i swoich przysmaków? Czy nie jest przypadkiem samotna? I wreszcie – czy ktoś się o nią troszczy?

Klara czuła smutek i bardzo tęskniła za swoim Kokosem. Często płakała. Pewnego dnia Klara zmęczona płaczem po stracie przyjaciela zasnęła. Wtedy przyśnił jej się ukochany Kokos! Dziewczynka ucieszyła się na widok swojego przyjaciela, w końcu poczuła się szczęśliwa.

– Gdzie teraz jesteś? – spytała.

– Mieszkam na Marchewkowym Polu, w Słonecznej Dolinie, mam mnóstwo pysznego jedzenia. Niedaleko mnie jest zielony zakątek pełen soczystych ogórków, smacznej pietruszki zawsze świeżej sałaty.

– A czy nie jesteś tam samotny?

– A pamiętasz moich braci i moje siostry z domu, z którego do Was przyszedłem? Jest tam Pusia, Lolek, Chrumek i Owsianka i wiele, wiele innych świnek. Jest mi tam dobrze! Smutno mi tylko, gdy patrzę na Ciebie i widzę, jak się smucisz. Myślę, że powinnaś się zająć innym zwierzątkiem, które czeka na Ciebie. Byłaś taką dobra opiekunką i towarzyszką zabaw.

Klara obudziła się i wstała spokojna i radosna, co ucieszyło Mamę i Tatę.

– Tato! Mam do Ciebie sprawę. Chcę, żebyś mnie zabrał do sklepu zoologicznego – powiedziała Klara.

Julia Krypczyk, Monika Krypczyk

Niezwykła siła

(wyróżnienie)

Karolek ma 7 lat. Właśnie niedawno rozpoczął naukę w szkole, jest uczniem I klasy. Bardzo się z tego powodu cieszy. Budynek szkoły znajduje się naprzeciwko jego domu. Już od dawna z nutką zazdrości przyglądał się grupie uczniów, którzy z radością biegli do szkoły. Teraz i on dołączył do ich grona.

Chłopiec w szkole poznał nowych kolegów, a i pani, jak mówi, jest bardzo miła i mądra. Niestety nie wszystko jest takie kolorowe. Do klasy Karolka w drugim tygodniu września dołączył Igor – klasowy „rozrabiaka", który jest wyższy o głowę od pozostałych dzieci, a do tego... jest bardzo silny!

Karolek zaczął mieć problemy ze snem, ma koszmary, często budzi się w nocy i krzyczy. Mama chłopca postanowiła pokazać mu, że nie musi się niczego bać, ponieważ ona jest zawsze przy nim. Wieczorem, gdy zasnął, usiadła obok jego łóżka. Po dwóch godzinach Karolek obudził się przerażony, ale zobaczył, że mama jest przy nim, więc się uśmiechnął i ponownie zasnął.

Kolejnego dnia sytuacja się powtórzyła, ale tym razem mama była tak bardzo zmęczona, że i ona zapadła w sen. Chłopiec był przerażony, krzyczał, że już nigdy nie zaśnie, ponieważ boi się potwora ze snu. Mama była bardzo zmartwiona. Zastanawiała się, jak pomóc Karolkowi. Na szczęście

przypomniała sobie, że i ona miała w dzieciństwie problemy ze snem, a wtedy pomagała jej mała maskotka – zawieszka, którą schowała na strychu. Postanowiła wręczyć ją synowi.

Tej nocy chłopiec zasypiał w towarzystwie mamy i małego misia, którego nazwał: Niedźwiadek. Niestety, sen się powtórzył. Karolek przerażony usiadł na łóżku i zobaczył... śpiącą mamę i misia leżącego na poduszce. Niedźwiadek miał wielkie oczy... wielkie otwarte oczy, co niezmiernie ucieszyło chłopca. Nagle mama się obudziła i przeprosiła Karolka, że nie zdołała powstrzymać się od snu. Jednak chłopiec, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, powiedział:

– Mamusiu, nie martw się, Niedźwiadek nie spał. Kiedy się obudziłem, miał oczy szeroko otwarte i na mnie spoglądał. On nie pozwoli, żeby mi ktokolwiek zrobił krzywdę!

Następnego dnia wypoczęty Karolek poszedł do szkoły. Miał przy sobie Niedźwiadka, który został przypięty przez mamę do plecaka. W szkole po czterech lekcjach pierwszoklasiści obejrzeli występ przygotowany przez starszych uczniów. Karolek i jego koledzy śmiali się co niemiara. Przedstawienie było bardzo zabawne. W końcu trzeba było wracać do domu. Chłopiec wychodząc ze szkoły, zauważył jak Igor, klasowy „rozrabiaka", popchnął Adasia, najmniejszego chłopca w klasie.

– Zostaw go łobuzie! – krzyknął Karolek, który sam był zaskoczony swoją reakcją.

– Bo co?! Odezwał się obrońca! – ze śmiechem powiedział Igor.

– Bo... bo mam coś, dzięki czemu zrozumiesz, że nie można zadzierać z Adasiem – odpowiedział Karol.

Igor zdziwił się, ale i przestraszył. W gruncie rzeczy, nie wiedział, czego można się spodziewać, więc powiedział:

– Hmmm... masz szczęście, że się spieszę, bo inaczej...

Ilustracja: Joanna Ogińska-Sokołowska

Igor nie dokończył zdania i odszedł zły na siebie, ponieważ sądził, że nikt z chłopaków nie stanie w obronie Adasia. Natomiast rozbawieni chłopcy udali się do swoich domów. Karolek z radością wbiegł do siebie, rzucił plecak na podłogę i wtedy zauważył, że nie ma małego misia. Zrobiło mu się przykro, ale zarazem niczego nie rozumiał. Nagle w drzwiach przedpokoju pojawiła się zaniepokojona mama i zapytała synka, co się wydarzyło. On opowiedział historię o Igorze i Adasiu, a także ze smutkiem wspomniał o zniknięciu misia. Mama była bardzo dumna ze swojego syna, ale on niczego nie rozumiał, więc zapytał:

– Mamusiu, ja cały czas myślałem, że Niedźwiadek jest ze mną i nie dopuści do tego, żeby mi się coś stało, a tu... okazało się, że go nie ma...

– Synku, Niedźwiadek nie był Ci potrzebny, ponieważ zawsze pomagało Ci coś... coś wyjątkowego, co masz w serduszku – powiedziała z uśmiechem mama.

– Co takiego mamusiu? – zapytał zdziwiony Karolek.

– Odwaga, synku, odwaga – powiedziała mama ze łzami w oczach.

– Odwaga... Jestem odważny! – krzyknął z radością chłopiec. - Aleee co z Niedźwiadkiem?! – dodał po chwili.

– Karolku, Ty już nie potrzebujesz Niedźwiadka. Pewnie znalazł się w rękach innego dziecka, któremu teraz musi pomóc uwierzyć w siebie – odparła mama.

Tego wieczoru mama i chłopiec długo jeszcze rozmawiali i zastanawiali się, do czyjego domu dostał się miś.

„Bajka na zdrowie”
stanowi zbiór prac
nagrodzonych w I edycji
Ogólnopolskiego Rodzinnego
Konkursu Literackiego
na napisanie bajki terapeutycznej.

PTB

Opolskie Centrum Edukacji

JEDNOSTKA SAMORZĄDU
Województwa Opolskiego

ISBN 978-83-951737-6-9